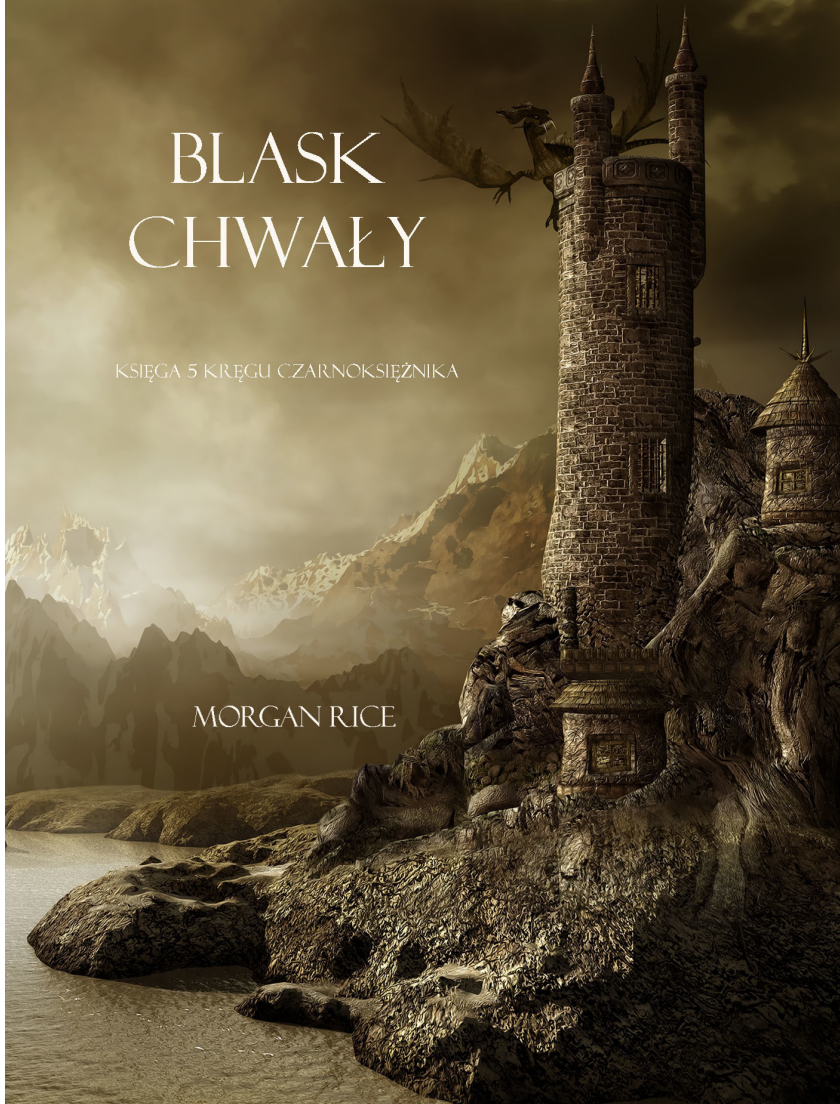


BLASK CHWAŁY

KSIEGA 5 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA

MORGAN RICE



Morgan Rice

Blask Chwały

Серия «Кругу Czarnoksiężnika», книга 5

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43696295

Blask Chwały (Księga 5 Kругu Czarnoksiężnika):

ISBN 9781632913043

Аннотация

BLASK CHWAŁY (Księga 5 Kругu Czarnoksiężnika) ukazuje kolejne przygody Thora i jego przyjaciół w heroicznej wyprawie przez rozległe dzikie tereny Imperium, w poszukiwaniu pradawnego Miecza Przeznaczenia, podróży podjętej by ocalić Krag. Przyjaźnie Thora pogłębiają się wraz z tym, jak jego oddział dociera do nowych miejsc, mierzy się z nieznanymi potworami i walczy ramię w ramię w niewyobrażalnej bitwie. Na swej drodze poznają egzotyczne lądy, potwory i plemiona dotychczas niespotykane i niewyobrażalne, a każdy etap ich podróży przynosi nowe niebezpieczeństwo. Muszą użyć wszelkich umiejętności, by przeżyć, podążając szlakiem złoczyńców coraz głębiej i głębiej w Imperium. Ich wyprawa zawiedzie ich wprost do serca Underworld, podziemnego świata, jednego z siedmiu piekielnych królestw, w którym rządzą nieumarli, a pola wyściełają kości. Thor musi używać swych mocy częściej niż kiedykolwiek, starając się lepiej zrozumieć swoją naturę. Tymczasem w Kругu, Gwendolyn prowadzi połowę Królewskiego Grodu do zachodniej

twierdzy Silesii, starożytnego miasta leżącego na skraju kanionu od tysiąca lat. Fortyfikacje miasta pozwoliły przetrwać liczne oblężenia, wiek po wieku – jednakże nigdy dotąd nie stawiały oporu takiemu przywódcy, jakim był Andronicus, ani też tak licznej armii, jakim było jego milionowe wojsko. Gwendolyn obejmuje władzę i poznaje trudy bycia królową i wraz z Srogiem, Kolkiem, Bromem, Steffenem, Kendrickiem i Godfreyem przygotowuje miasto na oblężenie i nadchodzącą wojnę. Tymczasem, Gareth popada w coraz większe szaleństwo, próbując odeprzeć zamach stanu, który skończyłby się jego śmiercią w Królewskim Grodzie. Erec walczy o swoje życie, swoją miłość, Alistair i miasto księcia Savarii, kiedy opadła tarcza umożliwi inwazję dzikich stworzeń spoza Kręgu. Godfrey, pogrążając się znowu w pijaństwie, musi zdecydować, czy jest gotów zerwać ze swoją przeszłością i stać się takim człowiekiem, jakiego jego rodzina oczekuje. Kiedy wszyscy walczą o swe życie i wydaje się, że już nic gorszego nie może się wydarzyć, opowieść kończy się dwoma szokującymi zwrotami akcji. Czy Gwendolyn przeżyje natarcie wrogiej armii? Czy Thor przeżyje wyprawę do Imperium? Czy Miecz Przeznaczenia się odnajdzie? Dzięki niezwykle wartkiej i często zaskakującej akcji, ciekawej inscenizacji i wnikliwej charakteryzacji, **BLASK CHWAŁY** staje się epicką opowieścią o przyjaciółach i kochankach, rywalach i zalotnikach, rycerzach i smokach, intrygach i politycznych machinacjach; o dorastaniu, złamanym sercach, oszustwach, ambicji i zdradzie. Jest to opowieść o honorze i odwadze, ludzkim losie i przeznaczeniu; o magii. To fantazja, która przenosi nas w niezapomniany świat, który przemawia do wszystkich grup wiekowych i płci. Powieść liczy 75. 000 słów.

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	14
ROZDZIAŁ DRUGI	22
ROZDZIAŁ TRZECI	30
ROZDZIAŁ CZWARTY	40
ROZDZIAŁ PIĄTY	55
ROZDZIAŁ SZÓSTY	65
ROZDZIAŁ SIÓDMY	82
Конец ознакомительного фрагмента.	88

Morgan Rice

Blask Chwały (Księga 5 Kręgu Czarnoksiężnika)

Przekład: Sandra Wilk

O autorce

Morgan Rice jest autorką bestsellerowych THE VAMPIRE JOURNALS, serii powieści dla młodzieży obejmującej jedenaście części (kolejne w trakcie przygotowania), THE SURVIVAL TRILOGY, postapokaliptycznego thrillera, w skład którego wchodzi dwie księgi (kolejne w trakcie przygotowania) oraz epickiego cyklu fantasy KRĄG CZARNOKSIĘŻNIKA, składającego się z trzynastu ksiąg (kolejne w trakcie przygotowania).

Książki autorki dostępne są w wersji audio oraz drukowanej i zostały przetłumaczone na niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, portugalski, japoński, chiński, szwedzki, holenderski, turecki, węgierski, czeski i słowacki (kolejne wersje językowe w trakcie przygotowania).

PRZEMIENIONA (Księga 1 cyklu Vampire Journals), ARENA ONE (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), WYPRAWA BOHATERÓW (Księga 1 cyklu Krąg Czarnoksiężnika) oraz

RISE OF THE DRAGONS (Księga 1 cyklu Kings and Sorcerers) dostępne są nieodpłatnie!

Morgan ciesząc komentarze czytelników, zachęcamy więc do odwiedzenia strony www.morganricebooks.com, gdzie możecie dopisać swój adres e-mail do listy i otrzymać darmową wersję książki oraz materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, przeczytać najświeższe, niepublikowane nigdzie indziej wiadomości, połączyć się przez Facebook i Twitter i być w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

„KRAŁ CZARNOKSIĘŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontryntrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce.”

– *Books and Movies Reviews, Roberto Mattos*

“Świat wykreowany przez Rice wciąga od pierwszych stron. Autorka opisuje go w niezwykle barwny sposób, który wykracza poza zwykły opis scenerii... Dobrze napisana książka, którą czyta się w mgnieniu oka.”

– *Black Lagoon Reviews (w odniesieniu do Turned)*

„Idealna opowieść dla młodych czytelników. Morgan Rice dobrze się spisała, wprowadzając nieoczekiwany zwrot wydarzeń... Ożywcza i jedyna w swoim rodzaju. Cykl opowiada o jednej dziewczynie... wyjątkowej dziewczynie! Łatwo się czyta, a akcja biegnie niezwykle szybko... Zalecana kontrola rodzicielska.”

– *The Romance Reviews* (w odniesieniu do *Turned*)

“Przykuwa uwagę od pierwszych stron. Nie będziesz mógł się od niej oderwać... Ta historia to fantastyczna przygoda, przepełniona akcją od samego początku. Nie ma w niej ani jednego nudnego momentu.”

– *Paranormal Romance Guild* (w odniesieniu do *Turned*)

“Przepełniona do granic możliwości akcją, romansem, przygodą i napięciem. Weź ją do ręki i zakochaj się od nowa.”

– *vampirebooksite.com* (w odniesieniu do *Turned*)

„Książka o fantastycznej fabule, którą trudno będzie ci odłożyć w nocy. Kończy się w tak nieoczekiwanym i spektakularnym momencie, że natychmiast nabierzesz ochoty, by kupić kolejną część i przekonać się, co będzie dalej.”

– *The Dallas Examiner* (w odniesieniu do *Loved*)

“Rywal ZMIERZCHU i PAMIĘTNIKÓW WAMPIRÓW, od którego nie będziesz mógł się oderwać aż do ostatniej strony! Jeśli jesteś fanem przygody, romansu

i wampirów, to książka właśnie dla ciebie!”
– *vampirebooksite.com* (w odniesieniu do *Turned*)

„Morgan Rice po raz kolejny udowadnia, że potrafi w niezwykle sposób snuć opowieści... Książka przemówi do szerokiego grona odbiorców, w tym do młodych fanów gatunku fantasy i opowieści o wampirach. Kończy się w takim momencie, że otworzysz oczy szeroko ze zdumienia.”
– *The Romance Reviews* (w odniesieniu do *Loved*)

Autorstwa Morgan Rice

KRĄG CZARNOKSIĘŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)

ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)

OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)

NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)

MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)

ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)

KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)

RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)

PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)

SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZĘŚĆ 15)
POTYCZKI RYCERZY (CZĘŚĆ 16)
ŚMIERTELNA BITWA (CZĘŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (Book #1)
ARENA TWO (Book #2)

THE VAMPIRE JOURNALS

PRZEMIENIONA (CZĘŚĆ 1)
KOCHANY (CZĘŚĆ 2)
ZDRADZONA (CZĘŚĆ 3)
PRZEZNACZONA (CZĘŚĆ 4)
POŻĄDANA (CZĘŚĆ 5)
ZAREČZONA (CZĘŚĆ 6)
ZAŚLUBIONA (CZĘŚĆ 7)
ODNALEZIONA (CZĘŚĆ 8)
WSKRZESZONA (CZĘŚĆ 9)
UPRAGNIONA (CZĘŚĆ 10)
NAZNACZONA (CZĘŚĆ 11)

Kliknij tutaj by pobrać książki Morgan Rice!

THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals





Copyright © 2012 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody

autora.

Niniejsza publikacja elektroniczna została dopuszczona do wykorzystania wyłącznie na użytek własny. Nie podlega odsprzedaży ani nie może stanowić przedmiotu darowizny, w którym to przypadku należy zakupić osobny egzemplarz dla każdej kolejnej osoby. Jeśli publikacja została zakupiona na użytek osoby trzeciej, należy zwrócić ją i zakupić własną kopię. Dziękujemy za okazanie szacunku dla ciężkiej pracy autorki publikacji.

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Jacket art ©iStock.com /© Jen Grantham



*Każdy swe życie ceni, lecz jedynie
Najwięksi honor nad życie wnoszą.*

– William Shakespeare
Troilus i Kresyda

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Andronicus z dumą przemierzał na swym wierzchowcu ulice królewskiego miasta McClouda, otoczony z obu stron setkami swych generałów. Ciągnął za sobą swą najcenniejszą zdobycz: króla McClouda. Jego owłosione, tłuste cielsko, odarte ze zbroi, półnagie, było skrępowane sznurami i przywiązane do tylnej części siodła Andronicusa długą liną, która oplatała nadgarstki McClouda.

Andronicus jechał powoli, napawając się swoim zwycięstwem. Przeciągał McClouda po ulicach, po pyle i drobnych kamieniach, wzniecając przy tym obłok kurzu. Ludzie McClouda zbiegali się i przypatrywali w osłupieniu. Andronicus słyszał krzyki McClouda, skręcającego się z bólu, kiedy włókł go po ulicach jego miasta, i szeroko się uśmiechał. Twarze ludzi McClouda wykrzywiał strach. Oto ich poprzedni król stał się najniższym niewolnikiem. Był to jeden z najświetniejszych dni w życiu Andronicusa.

Zdumiała go łatwość, z jaką przyszło mu zdobycie tego miasta. Jak gdyby ludzie McClouda stracili ducha do walki jeszcze przed atakiem. Żołnierze Andronicusa pokonali ich w okamgnieniu. Tysiące jego wojowników uderzyły, zmioły kilku żołnierzy, którzy odważyli się stawić opór, i jak błyskawica wlały się do miasta. Najwyraźniej zdali sobie sprawę z tego, że obrona nie ma sensu. Złożyli broń, zakładając, że jeśli się poddadzą,

Andronicus weźmie ich w niewolę.

Nie znali jednak wielkiego Andronicusa. Gardził poddającymi się. Nie brał jeńców, a złożenie broni tylko ułatwiło mu sprawę.

Ulice miasta McClouda spływały krwią – ludzie Andronicusa przeczesywali każdą uliczkę, każdy zakątek i masakrowali wszystkich mężczyzn, których spotkali na swej drodze. Kobiety i dzieci brał na niewolników, jak zawsze. Domy plądrowano, jeden po drugim.

Andronicus przemierzał teraz powoli ulice, oceniając ogrom swojego triumfu. Jego oczom ukazał się widok ciał zabitych, piętrzące się łupy, zniszczone domostwa. Odwrócił się i skinął na jednego ze swych generałów, który natychmiast uniósł wysoko pochodnię, dając znak swoim ludziom, i setki żołnierzy rozpieczęły się po mieście, podpalając kryte strzechą dachy. Dokoła płomienie wystrzeliły w górę, próbując sięgnąć nieba, i Andronicus poczuł bijący od nich żar.

– NIE! – krzyknął McCloud, szarpiąc się z tyłu na ziemi.

Andronicus rozpromienił się w uśmiechu i ponaglił konia, zmierzając ku szczególnie okazałemu głązowi. Usłyszał za sobą łoskot, na dźwięk którego ogarnęło go szczególne zadowolenie. Wiedział, że to ciało McClouda uderzyło o kamień.

Andronicusa niezwykle radował widok płonącego miasta. Podobnie jak w przypadku każdej miejsciny, którą podbił i przyłączył do swego Imperium, najpierw zrówna je z ziemią, a później wzniesie na nowo – ze swoimi ludźmi, swoimi

generałami, swoim własnym Imperium. Zawsze tak postępował. Nie chciał widzieć ani śladu po tym, co stare. Budował nowy świat. Świat Andronicusa.

Krąg, nienaruszalny Krąg, który wymykał się wszystkim jego przodkom, należał teraz do niego. Trudno było mu to pojąć. Oddychał głęboko, rozmyślając o swej potędze. Wkrótce przekroczy Pogórze i podbije także drugą połowę Kręgu. A wtedy na całym świecie nie będzie już takiego miejsca, które nie należałoby do niego.

Andronicus zbliżył się do posągu McClouda, który górował nad placem miasta, i zatrzymał się przed nim. Wznosił się niczym świątynia, wysoki na pięćdziesiąt stóp, marmurowy. Ukazywał McClouda w postaci, której Andronicus nie rozpoznawał – młodego, sprawnego, muskularnego, który z dumą dzierżył miecz. Pomnik był skrajnym egocentryzmem. Za to Andronicus go podziwiał. Jakaś jego część chciała zabrać ten pomnik ze sobą i ustawić w pałacu jako trofeum.

Lecz inna jego część była zbyt zniesmaczona. Bez namysłu sięgnął do pasa i wyciągnął swoją procę – trzy razy większą od proc innych wojowników, na tyle dużą, że mieścił się w niej kamień wielkości niedużego głazu – zamachnął się i cisnął z całych sił przed siebie.

Kamień przeciął powietrze i uderzył w głowę posągu. Marmurowa głowa McClouda rozprysnęła się w drobny mak. Andronicus wydał z siebie okrzyk, uniósł swój dwuręczny kiścień, rzucił się naprzód i zamachnął z całych sił.

Natarł na tors posągu. Marmur zachwiał się i roztrzaskał na ziemi z ogromnym hukiem. Andronicus zawrócił i upewnił się, że przejeżdżając przeciągnie McClouda po odłamkach.

– Zapłacisz za to! – zawołał udręczony McCloud słabym głosem.

Andronicus się roześmiał. Spotkał w swoim życiu wielu ludzi, lecz ten był chyba najbardziej żalonym spośród nich.

– Czyżby? – krzyknął Andronicus.

Ten McCloud naprawdę był tępakiem – wciąż nie zdawał sobie sprawy z potęgi wielkiego Andronicusa. Trzeba było go uświadomić, raz na zawsze.

Andronicus rozejrzał się po mieście i jego wzrok spoczął na tym, co niewątpliwie było zamkiem McClouda. Ponaglił konia kopniakiem, a ten ruszył galopem, ciągnąc McClouda przez zakurzony dziedziniec. Jego ludzie przyłączali się do niego, gdy zbliżał się do zamku.

Andronicus pokonał dziesiątki marmurowych schodów, słysząc obijające się o stopnie ciało McClouda, krzyczącego i jęczącego z bólu na każdym z nich, i przejechał przez marmurowe wejście. Ludzie Andronicusa pełnili już przy nim wartę, a u ich stóp leżały zakrwawione ciała strażników McClouda. Andronicus uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc, że każdy zakamarek miasta należy już do niego.

Andronicus jechał dalej, minął szerokie wrota zamku i przemierzał korytarz o wysokim, łukowatym sklepieniu wykonanym z marmuru. Zachwycił go brak umiaru tego

McClouda. Najwyraźniej nie oszczędzał na niczym, byle tylko sobie dogodzić.

Teraz nadszedł jego dzień. Andronicus otoczony swymi ludźmi zmierzał szerokimi korytarzami w kierunku tego, co musiało być salą koronacyjną McClouda. Stukot końskich kopyt odbijał się echem od ścian. Wpadł przez dębowe drzwi i zatrzymał się na samym środku pomieszczenia, obok nieprzyzwoicie dużego tronu wykonanego ze złota, który wznosił się pośrodku komnaty.

Andronicus zsiadł z konia, powoli wspiał się po złotych schodach i zasiadł na tronie.

Oddychając głęboko, odwrócił się i spojrzał na swych ludzi, na dziesiątki generałów, którzy siedzieli na swoich wierzchowcach, oczekując jego rozkazów. Przeniósł wzrok na zakrwawionego, jęczącego McClouda, który wciąż był przywiązany do jego siodła. Rozejrzał się po pomieszczeniu, dokładnie przyjrzał się ścianom, proporcom, zbroi, orężowi. Spojrzał w dół, na tron, i podziwiał kunszt, z jakim go wykonano. Zastanawiał się, czy lepiej będzie go stopić, czy też zabrać ze sobą. Mógłby oddać go któremuś z pomniejszych generałów.

Ten tron, rzecz jasna, nie mógł się równać z tronem Andronicusa, najmasywniejszym tronem we wszystkich królestwach, którego wykonanie zajęło dwudziestu rzemieślnikom czterdzieści lat. Jego budowa rozpoczęła się jeszcze za życia jego ojca i została zakończona w dniu, w którym Andronicus go zamordował. Chwila nie mogłaby być

dogodniejsza.

Andronicus spojrział w dół na McClouda, tego żalosnego człowieczka, i zastanawiał się, w jaki sposób najlepiej zadać mu ból. Przyjrzał się kształtowi i rozmiarowi jego głowy i uznał, że chciałby ją skurczyć i nosić przy szyi, wraz z innymi zmniejszonymi czerepami. Wiedział jednak, że nim go zabije, musi pozwolić, by jego twarz zeszczupiała, kości policzkowe – uwydatniły się, by lepiej prezentowała się przy jego szyi. Nie chciał, by tłusta, nalana twarz zaburzyła symetrię jego naszyjnika. Pozwoli mu jeszcze trochę pożyć, a w międzyczasie będzie go torturować. Uśmiechnął się do siebie. Tak, ten plan był znakomity.

– Przyprawdźcie go do mnie – rozkazał Andronicus jednemu ze swoich generałów swoim pradawnie brzmiącym, gardłowym głosem.

Generał zeskoczył z konia, nie zawahawszy się ani sekundy, pospieszył do McClouda, odciął linę i przeciągnął zakrwawione ciało po podłodze, zostawiając na niej czerwoną smugę. Rzucił je u stóp Andronicusa.

– Nie ujdzie ci to na sucho! – wymamrotał cicho McCloud.

Andronicus pokręcił głową; ten człowiek nigdy nie pojmie swej lekcji.

– Spójrz na mnie. Siedzę na twym tronie – rzekł. – A ty leżysz u mych stóp. Myślę, że mogę z całą pewnością stwierdzić, że wszystko ujdzie mi na sucho. Że już uszło.

McCloud leżał na ziemi, jęcząc i wijąc się.

– Pierwszą rzeczą, o którą zadbam – powiedział Andronicus.
– Będzie to, byś oddał należny hołd swemu nowemu panu i królowi. Zbliź się, spotka cię wielki zaszczyt – jako pierwszy uklęknieś przede mną w moim nowym królestwie, pierwszy ucałujesz moją dłoń i nazwiesz królem tego, co niegdyś było częścią Kręgu należącą do McClouda.

McCloud podniósł wzrok, uniósł się na kolanach i dłoniach, i drwiąco uśmiechnął do Andronicusa.

– Nigdy! – powiedział, odwrócił się i splunął na posadzkę.

Andronicus odchylił się w tył i wybuchnął śmiechem. Czerpał z tego wiele satysfakcji. Już dawno nie spotkał tak upartego człowieka.

Andronicus odwrócił się i skinął głową. Na ten znak jeden z jego ludzi schwycił McClouda od tyłu, a inny podszedł i przytrzymał mu mocno głowę. Trzeci ruszył w jego kierunku z długą brzytwą. Na jego widok McCloudowi ugięły się nogi.

– Co robisz? – zapytał McCloud w panice głosem o kilka oktaw wyższym.

Mężczyzna szybkim ruchem zgolił połowę brody McClouda. Ten podniósł wzrok w konsternacji, wyraźnie zbity z tropu tym, że mężczyzna nie wyrządził mu krzywdy.

Andronicus skinął i naprzód wystąpił inny człowiek – w dłoni miał długi pogrzebacz, zakończony odlanym w żelazie symbolem królestwa Andronicusa – lwem z ptakiem w paszczy. Był rozgrzany do czerwoności, aż unosiła się z niego para. Żołnierze przytrzymywali McClouda, a mężczyzna zbliżył pogrzebacz do

jego świeżo ogolonego policzka.

– Nie! – wrzasnął McCloud, pojmując, co się za chwilę stanie. Jednak było już za późno.

Powietrze przeciął rozdzierający krzyk, któremu towarzyszył syk i swąd palonego ciała. Andronicus przyglądał się z radością, jak pogrzebacz zanurza się coraz głębiej w policzku McClouda. Syk stał się głośniejszy, a krzyki – niemal nie do zniesienia.

W końcu, po dobrych dziesięciu sekundach, puścili McClouda.

Ten osunął się na ziemię, nieprzytomny, zaśliniony, a z jego policzka unosił się dym. Teraz znajdował się na nim znak Andronicusa, wypalony w jego ciele.

Andronicus pochylił się, spojrzał na nieprzytomnego McClouda i podziwiał swoje dzieło.

– Witaj w Imperium.

ROZDZIAŁ DRUGI

Erec stał na szczycie wzniesienia i patrzył, jak niewielka armia zbliża się w jego stronę. W jego sercu płonął ogień. Był stworzony dla takich chwil. W niektórych bitwach granica między sprawiedliwym i niesprawiedliwym była mglista – lecz nie tego dnia. Moźnowładca z Baluster porwał jego żonę bezwstydnie i nie żałował bynajmniej swego uczynku, wręcz przeciwnie – chełpił się nim. Erec uświadomił mu jego postępek i dał szansę, by go naprawił, lecz ten odmówił. Sam ściągnął na siebie to nieszczęście. Jego ludzie powinni dać temu spokój – tym bardziej teraz, gdy już nie żył.

Lecz oni ścigali go mimo tego. Były ich setki. Płatni najemnicy moźnowładcy – wszyscy chcieli zabić Ereca tylko dlatego, że ten człowiek ich opłacił. Szarżowali w jego kierunku w swoich lśniących zielonych zbrojach, a gdy byli już blisko, wydali z siebie okrzyk bitewny. Jak gdyby to miało napędzić mu strachu.

Erec się nie obawiał. Widział zbyt wiele takich bitew. Jeśli lata ćwiczeń czegoś go nauczyły, to właśnie tego, by nigdy się nie lękać, jeśli stoisz po stronie sprawiedliwości. Sprawiedliwość – uczono go – może nie zawsze zwycięża, lecz daje siłę dziesięciu mężczyzn temu, kto pozostaje jej wierny.

To nie strach dręczył Ereca, gdy patrzył na setki zbliżających się mężczyzn, wiedząc, że zapewne tego dnia zginie. Spodziewał

się tego. Los dał mu szansę, by ponieść śmierć w najbardziej honorowy sposób, i uważał to za dar. Złożył przysięgę chwały i dziś ta przysięga domagała się wypełnienia.

Erec dobył miecza i puścił się biegiem w dół zbocza, wprost na szarżującą na niego armię. Nigdy bardziej niż dziś nie żałował, że nie ma przy sobie swego zaufanego rumaka, Warkfina, na którego grzbiecie mógłby stawić czoła przeciwnikowi. Spokój przynosiła mu jednak myśl, iż Warkfin niósł Alistair do Savarii, za bezpieczne mury dworu księcia.

Gdy był już blisko żołnierzy, ledwie pięćdziesiąt jardów od nich, Erec przyspieszył, biegnąc prosto na dowodzącego rycerza w środku. Ani żołnierze, ani Erec nie zwolnili. Erec przygotował się na uderzenie.

Wiedział, że jedno działa na jego korzyść: trzystu mężczyzn nie jest w stanie podejść tak blisko, by jednocześnie atakować jednego mężczyznę; z czasów swojego szkolenia wiedział, że nie więcej niż sześciu jeźdźców może zbliżyć się, by zaatakować jednego wojownika. Rozumiał tym samym, że jego szanse wynoszą nie trzysta do jednego, a jedynie sześć do jednego. Jak długo będzie w stanie zabijać sześciu mężczyzn dokoła siebie, tak długo będzie miał szansę zwyciężyć. Wszystko zależało jedynie od tego, czy starczy mu sił.

Kiedy Erec pędził w dół zbocza, dobył zza pasa broni, która – wiedział to – będzie najlepsza: kiścienia z łańcuchem długim na dziesięć jardów, na którego końcu znajdowała się najeżona kolcami metalowa kula. Była to broń przeznaczona do

zastawiania pułapek na drodze – lub sytuacji takich jak ta.

Erec odczekał do ostatniej chwili, tak by armia nie miała czasu zareagować, po czym zakreślił kiścieniem wysoko nad głową i zarzucił łańcuchem przez pole bitwy, mierząc w niewielkie drzewo. Naszpikowany kolcami łańcuch rozciągnął się przez pole bitwy. Kiedy kula zahaczyła o pień drzewa, Erec zwinął się i rzucił na ziemię, unikając wycelowanych w niego włócznie, i z całej siły trzymał trzonek swej broni.

Idealnie odmierzył czas: armia nie zdążyła zareagować. Żołnierze zauważyli łańcuch w ostatniej chwili i próbowali powściągnąć konie – lecz przy takiej prędkości nie zdołali ich już zatrzymać.

Cały pierwszy szereg wbiegł w najeżony kolcami łańcuch, który przerznął nogi koni. Jeźdźcy zwalili się na ziemię głową naprzód, a ich konie poleciały na nich, przygniatając ich. Dziesiątki z nich zostały zmiażdżone w powstałym chaosie.

Erec nie miał czasu na to, by napawać sięzkodami, jakie zadał przeciwnikowi: kolejna flanka armii zwróciła się w jego kierunku i ruszyła, szarżując z okrzykiem bitewnym. Erec przetoczył się i skoczył na nogi, gotując się na to spotkanie.

Kiedy dowodzący rycerz uniósł oszczep, Erec wykorzystał to, czym dysponował: nie miał konia, nie mógł więc walczyć z nimi na ich wysokości, ale skoro znajdował się bliżej ziemi, mógł to wykorzystać. Erec przypadł gwałtownie do ziemi, zwinął się, uniósł miecz i przeciął nogi konia, na którym siedział żołnierz. Koń przewrócił się, a wojownik padł na twarz nim zdążył

wypuścić z rąk swoją broń.

Erec przeturlał się na bok. Udało mu się uniknąć stratowania przez pędzące obok konie, zmuszone omijać powalone zwierzę. Wielu się to nie udało i wpadły na martwego rumaka – dziesiątki koni upadły na ziemię, wznecając obłok kurzu i zatrzymując armię.

Erec właśnie na to liczył: pył i zamieszanie, kolejne dziesiątki koni na ziemi.

Skoczył na nogi, uniósł miecz i parował cios żołnierza, który wymierzony był w jego szyję. Obrócił się i zablokował oszczep, później włócznię i topór. Bronił się przed ciosami, które spadały na niego ze wszystkich stron, lecz wiedział, że nie będzie to trwało wiecznie. Jeśli miał mieć szansę zwyciężyć, to on musiał atakować.

Erec rzucił się na ziemię i przeturlał się, lądując na jednym kolanie i cisnął mieczem jak gdyby była to włócznia. Miecz przeciął powietrze i wbił się w pierś najbliższego żołnierza, który otworzył szeroko oczy i zsunął się z konia na bok, martwy.

Erec wykorzystał okazję i dosiadł jego wierzchowca, wrywając mu wcześniej z dłoni kiścień. Była to wspaniała broń i Erec wybrał żołnierza właśnie z tego powodu; miała długą, nabijaną srebrną rękojeść i łańcuch długi na cztery stopy. Zakończona była trzema najeżonymi kolcami kulami. Erec odchylił się w tył i zakręcił nim wysoko nad głową, wytrącając broń z rąk kilku przeciwników naraz; zakręcił ponownie i zmiotł ich z koni.

Erec rozejrzał się po polu bitwy i zauważył, że wyrządził znaczne szkody – położył niemal stu rycerzy. Jednak pozostali, najmniej licząc dwustu, przegrupowali się i właśnie przypuszczali na niego szarżę – i wszyscy wyglądali na zdeterminowanych.

Erec ruszył w ich kierunku, jeden mężczyzna przeciw dwustu, i wniósł swój własny, donośny okrzyk bitewny, unosząc kiścień jeszcze wyżej i modląc się do Boga, by starczyło mu sił.



Alistair łkała, trzymając się kurczowo Warkfina, który galopem niósł ją przez dobrze jej znaną drogę prowadzącą do Savarii. Krzyczała i kopała zwierzę przez całą drogę, próbując z całych sił zawrócić i pognać z powrotem do Ereca. Koń jednak nie zamierzał jej usłuchać. Nigdy wcześniej nie widziała takiego konia – niezłomnie i bez wahania wykonywał rozkazy swego pana. Najwyraźniej zamierzał donieść ją dokładnie tam, gdzie Erec mu kazał – i w końcu, zrezygnowana, pogodziła się z faktem, że nie może temu nijak zaradzić.

Alistair miała mieszane uczucia, kiedy wjeżdżała przez bramy miasta, miasta, w którym żyła tak długo, najęta jako służka. Po trosze było to miejsce, które знаła – lecz budziło również wspomnienie karczmarza, który ją ciemnił, wspomnienia wszystkiego, co w tym miejscu było nie tak. Z ogromną niecierpliwością czekała na inne życie, na opuszczenie tego

miejsca z Erekiem i rozpoczęcie nowego życia z nim. Czuła się bezpiecznie za murami miasta, lecz zarazem narastało w niej złe przeczucie co do Erec'a, który w pojedynkę stawiał czoła armii. Na myśl o tym zrobiło jej się słabo.

Kiedy zdała sobie sprawę z tego, że Warkfin nie zawróci, wiedziała, że najlepszym posunięciem będzie sprowadzenie pomocy dla Erec'a. Erec prosił, by została tam, za bezpiecznymi murami – ale ona nie miała najmniejszego zamiaru tak postąpić. Była córką króla i nie zwykła uciekać ze strachu albo przed konfrontacją. Erec znalazł w niej idealną towarzyszkę: była równie szlachetna i zmotywowana, co on. I nie darowałyby sobie, gdyby coś mu się tam stało.

Znając dobrze to królewskie miasto, Alistair skierowała Warkfina w stronę zamku księcia – i teraz, kiedy byli już za murami miasta, zwierzę usłuchało. Podjechała przed wejście do zamku, zeskoczyła z konia i popędziła obok strażników, którzy próbowali zagrozić jej drogę. Prześlizgnęła się między nimi i pobiegła co tchu marmurowymi korytarzami, których układ poznała bardzo dobrze, gdy była służką. Alistair naparła ramieniem na ogromne drzwi do królewskiej sali, gwałtownie je otworzyła i wparowała do prywatnej komnaty księcia.

Kilku członków rady odwróciło się w jej kierunku i spojrzało na nią, wszyscy odziani byli w najświetniejsze szaty. Książę zasiadał na środku w otoczeniu kilku rycerzy. Na ich twarzach malowało się zdumienie; najwyraźniej przeszkodziła im w omawianiu ważnych spraw.

– Kim jesteś, niewiasto? – zapytał jeden z nich.

– Kto waży się przerywać księciu omawianie ważnych spraw urzędowych? – wykrzyknął inny.

– Poznaję tę kobietę – rzekł książę, wstając.

– Ja również – powiedział Brandt, który, jak pamiętała Alistair, był przyjacielem Ereca. – Alistair, prawda? – zapytał.
– Żona Ereca?

Podbiegła do niego, cała we łzach, i chwyciła jego dłonie.

– Proszę, panie, pomóż mi. Chodzi o Erecę!

– Co się stało? – spytał książę, zaniepokojony.

– Znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Stoi sam naprzeciw wrogiej armii. Nie pozwolił mi tam zostać. Proszę! Pomóżcie mu!

Wszyscy rycerze bez słowa zerwali się na nogi i rzucili w stronę wyjścia, ani jeden się nie zawahał; Alistair odwróciła się na pięcie i biegła obok z nich.

– Zostań tutaj! – zawołał Brandt.

– Ani mi się śni! – powiedziała, deptając mu po piętach. – Zaprowadzę was do niego.

Wszyscy jak jeden mąż biegli korytarzami, wypadli z zamku i podbiegli do osiodłanych koni. Każdy dosiadł swego wierzchowca bez chwili wahania. Alistair wskoczyła na Warkfina, pospieszyła go kopniakiem i ruszyła na czele grupy, równie co oni dręczona niepokojem.

Kiedy gnali przez dwór księcia, zewsząd żołnierze zaczęli dosiadać swych koni i przyłączać się do nich – gdy

wyjeżdżali poza mury Savarii, towarzyszył im już spory i wciąż się rozrastający oddział najmniej stu mężczyzn, któremu przewodziła Alistair. Brandt i książę jechali u jej boku.

– Jeśli Erec się dowie, że jedziesz z nami, zapłacę za to głowę – powiedział Brandt, pędząc obok niej. – Proszę, pani, powiedz nam jedynie, gdzie go znajdziemy.

Jednak Alistair uparcie pokręciła głowę, powstrzymując łzy i pospieszyła konia. Wokół niej rozbrzmiewało grzmiące dudnienie jadących obok mężczyzn.

– Prędzej umrę, niż opuszczę Ereca!

ROZDZIAŁ TRZECI

Thor jechał ostrożnie leśnym szlakiem. Obok niego podążali Reece, O'Connor, Elden i bliźniacy, a Krohn deptał im po piętach. Wyłonili się z lasu po drugiej stronie Kanionu. Serce Thora biło szybko, niespokojnie, kiedy dotarli w końcu na obrzeża gęstego lasu. Uniósł rękę, dając innym znak, by ucichli, i wszyscy zastygli w bezruchu.

Thor rozejrzał się, przyglądając się bacznie szerokiemu pasowi plaży, przestworowi nieba i dalej, rozległemu, żółtemu morzu, które miało doprowadzić ich do odległych krain Imperium. Morze Tartuwiańskie. Thor nie widział jego wód od czasu ich wyprawy na Rytuał Stu Dni. Dziwnie było wrócić w to miejsce – i to z misją, od której zależał los Kręgu.

Od czasu przekroczenia mostu nad Kanionem ich krótka jazda przez Dzicz nie obfitowała w wydarzenia. Kolk i Brom polecili Thorowi, by szukał niewielkiej łodzi przycumowanej nad brzegiem Tartuwianu, starannie skrytej za gałęziami ogromnego drzewa, które zwieszały się nad morzem. Thor podążał za ich wskazówkami i kiedy dotarli na obrzeża lasu, spostrzegł łódź – dobrze skrytą, gotową, by zabrać ich tam, gdzie mieli dotrzeć. Odetchnął z ulgą.

Wtedy jednak dostrzegł sześciu żołnierzy Imperium, stojących przed łodzią i uważnie ją oglądających. Jeden z nich wdrapał się na pokład łodzi, osadzonej częściowo w piasku

i kołyszącej się na delikatnych, omywających ją falach. Plaża miała być pusta.

Był to nieszczęśliwy splot okoliczności. Thor spojrzał w dal horyzontu i dostrzegł tam niewyraźny zarys czegoś, co wyglądało na flotę Imperium, tysiące czarnych statków pod czarną banderą Imperium. Na szczęście nie zmierzali w stronę Thora, lecz w innym kierunku – długą, okreśną drogą wokół Kręgu, na stronę McClouda, gdzie przekroczyli Kanion. Na szczęście ich flota podążała inną drogą.

Za wyjątkiem tego jednego patrolu. Tych sześciu żołnierzy Imperium, prawdopodobnie zwiadowców na rutynowym wypadzie, jakimś cudem musiało się natknąć na tę łódź Legionu. Chwila po temu była bardzo nieodpowiednia. Gdyby Thor i reszta dotarli na brzeg kilka minut wcześniej, najpewniej zdążyliby wsiąść na pokład i odbić od brzegu. A teraz czekała ich potyczka. Nic innego nie wchodziło w rachubę.

Thor rozejrzał się po plaży i nie dostrzegł żadnych innych oddziałów Imperium. Przynajmniej to działało na ich korzyść. Był to prawdopodobnie pojedynczy patrol.

– Myślałem, że łódź miała być dobrze ukryta – powiedział O'Connor.

– Najwyraźniej niewystarczająco dobrze – zauważył Elden. Siedzieli na końskich grzbietach, przypatrując się łodzi i grupie żołnierzy.

– Lada chwila powiadomią pozostałe oddziały Imperium – stwierdził Conven.

– A wtedy czeka nas porządna potyczka – dodał Conval.

Thor wiedział, że mają rację. I że nie mogą sobie pozwolić na takie ryzyko.

– O'Connor – rzekł Thor. – Masz najcenniejsze oko. Widziałem, jak oddajesz celny strzał z odległości pięćdziesięciu jardów. Widzisz łucznika? Mamy jedną szansę. Podołasz?

O'Connor z powagą skinął głową, utkwivszy wzrok w żołnierzach Imperium. Powoli, ostrożnie sięgnął nad ramieniem, uniósł łuk, założył strzałę i trzymał broń w gotowości.

Wszyscy liczyli na Thora, a on był gotów ich poprowadzić.

– O'Connor, wypuść strzałę, kiedy dam znak. Wtedy natrzemy na pozostałych. Reszta – użycie broni miotanych, kiedy się zbliżymy. Postarajcie się podejść najbliżej jak się da.

Thor dał znak ręką i O'Connor gwałtownie wypuścił strzałę.

Strzała rozdarła ze świstem powietrze. Był to strzał doskonały – metalowy grot zatopił się w sercu łucznika Imperium. Wojownik przez chwilę stał w miejscu z szeroko otwartymi oczyma, jakby nie rozumiał, co się dzieje, po czym nagle rozpostarł szeroko ramiona i upadł w przód, lądując z głośnym plaśnięciem na plaży u stóp pozostałych żołnierzy, zabarwiając piasek na czerwono.

Thor i reszta ruszyli do ataku, jak dobrze nakręcona maszyna, w której wszystkie elementy poruszają się w zgodzie z pozostałymi. Tętent końskich kopyt zdradził ich obecność i sześciu żołnierzy odwróciło się w ich stronę. Dosiedli swych koni i zaszarżowali na nich, gotując się na starcie pośrodku drogi.

Thor i jego ludzie wciąż mieli przewagę ze względu na element zaskoczenia. Thor zamachnął się i cisnął kamieniem ze swojej procy, trafiając w skroń jednego z nich z odległości dwudziestu jardów, kiedy ten dosiadał swego konia. Zsunął się z niego martwy, z zaciśniętymi w dłoni wodzami.

Kiedy zbliżyli się do przeciwnika, Reece cisnął toporem, Elden – włócznią, a obaj bliźniacy – sztyletami. Piaski były nierówne i konie się ślizgały, utrudniając rzucanie bardziej niż zwykle. Topór Reece’a trafił do celu, zabijając jednego z nich, lecz pozostali chybili.

Zostało więc czterech żołnierzy. Dowodzący odłączył się od grupy, szarżując wprost na Reece’a, który nie miał broni; rzucił topór i nie zdążył jeszcze dobyć miecza. Reece przygotował się na starcie, lecz w ostatniej chwili Krohn przyskoczył do napastnika i zatopił kły w nodze jego konia, który się przewrócił, zrzucając jeźdźca na ziemię i ratując Reece’a w ostatniej chwili.

Reece wyciągnął miecz i dźgnął wojownika, nim ten zdążył wstać.

Zostało więc trzech. Jeden z nich zbliżył się do Eldena z toporem, mierząc w jego głowę; Elden zablokował cios tarczą, zamachując się jednocześnie mieczem i przeciął rękojeść topora na dwie części. Następnie obrócił się z tarczą i uderzył napastnika w bok głowy, strącając go z siodła.

Inny żołnierz dobył kiścienia zza pasa i zamachnął się jego długim łańcuchem, którego naszpikowana kolcami końcówka zmierzała niebezpiecznie w kierunku O’Connora. To działo się

zbyt szybko i O'Connor nie zdążył zareagować.

Thor widział zbliżający się kiścień i ruszył przyjacielowi na pomoc, unosząc miecz i przecinając łańcuch broni, nim ten zdołał sięgnąć O'Connora. Rozległ się szczęk miecza przecinającego żelazo, a Thor zachwycił się ostrością swej nowej broni. Kolczasta kula upadła na ziemię, nie robiąc nikomu krzywdy, i utkwiała w piasku, oszczędzając O'Connora. Conval nadjechał i dźgnął wojownika włócznią, zabijając go.

Ostatni żołnierz Imperium spostrzegł, że tamci przewyższają go liczebnie; ze strachem w oczach nagle odwrócił się i ruszył przed siebie wzdłuż brzegu. Kopyta jego konia zostawiały w piasku głębokie ślady.

Wszyscy próbowali zatrzymać uciekającego żołnierza: Thor cisnął kamieniem ze swojej procy, O'Connor uniósł łuk i wystrzelił, a Reece rzucił włócznią. Jednak koń żołnierza zapadał się w piasek i jego jazda była zbyt nieprzewidywalna – żaden z nich nie trafił.

Elden dobył miecza i Thor spostrzegł, że zamierza ruszyć za nim. Wyciągnął rękę i dał znak, by zostawił go w spokoju.

– Nie! – krzyknął Thor.

Elden odwrócił się i spojrzał na niego.

– Jeśli pozwolimy mu żyć, sprowadzi innych! – zaprotestował Elden.

Thor odwrócił się i spojrzał na łódź. Wiedział, że strawiliby sporo cennego czasu na pogoń za nim – a na taką stratę nie mogli sobie pozwolić.

– Imperium i tak będzie nas ścigać – odrzekł Thor. – Nie mamy czasu do stracenia. Teraz najważniejsze jest, byśmy znaleźli się jak najdalej stąd. Do łodzi!

Kiedy dotarli do łodzi i zeskoczyli z koni, Thor sięgnął do swego siodła i zaczął opróżniać je z zapasów. Pozostali postąpili podobnie, ładując oręż, sakwy z jedzeniem i bukłaki z wodą. Kto wie, jak długo potrwa podróż i kiedy znowu ujrzą ląd – *jeśli* w ogóle go ujrzą. Thor załadował też jedzenie dla Krohna.

Przerzucili sakwy wysoko nad burtą; wylądowały na pokładzie z głośnym płaskiem.

Thor chwycił grubą, zasupłaną linę zwisającą z boku łódki i sprawdził, czy go utrzyma. Była szorstka i wrzynała mu się w dłonie. Przerzucił sobie Krohna przez ramię i podciągnął się w górę, ku pokładowi. Ich wspólny ciężar wystawił jego mięśnie na próbę. Krohn skomlał mu do ucha, przywierając do niego i wczepiając się ostrymi pazurami w jego pierś.

Wkrótce Thor znalazł się na łodzi i Krohn zeskoczył na pokład. Pozostali poszli w jego ślady. Thor wychylił się i spojrzał w dół na pozostałe na plaży konie, które patrzyły na nich, jak gdyby w oczekiwaniu na rozkaz.

– A co z nimi? – spytał Reece, stając obok niego.

Thor odwrócił się i omiótł spojrzeniem pokład. Łódź miała może z dziesięć stóp szerokości i dwa razy tyle długości. Była wystarczająco duża dla nich siedmiu – lecz nie dla ich koni. Gdyby spróbowali je zabrać, konie mogłyby zdeptać drewno, zniszczyć łódź. Musieli zostawić je na brzegu.

- Nie ma innej rady – rzekł Thor, patrząc na nie ze smutkiem.
- Będziemy musieli znaleźć sobie nowe wierzchowce.

O'Connor wychylił się za burłę.

- To mądre konie – powiedział. – Dobrze je wytresowałem. Wrócą do domu na moją komendę.

O'Connor gwizdnął głośno.

Jak jeden mąż konie odwróciły się i wystrzeliły przed siebie, mknąc przez piasek, i zniknęły w lesie, pędząc z powrotem w kierunku Kręgu.

Thor odwrócił się, spojrzał na swych braci, na łódź, na morze kołyszące się przed nimi. Teraz byli pozostawieni sami sobie, bez koni i bez wyboru – mogli jedynie ruszać naprzód. Rzeczywistość zaczęła do niego docierać. Byli naprawdę sami, mieli tylko tę łódź i zamierzali opuścić brzegi Kręgu na dobre. Teraz nie było już odwrotu.

– A niby jak mamy wypchnąć tę łódź na wodę? – spytał Conval i wszyscy spojrzeli piętnaście stóp w dół, na kadłub. Niewielką jego część omywały wody Tartuwianu, lecz większość tkwiła zdecydowanie w piasku.

– Tutaj! – zawołał Conven.

Pospieszyli na drugą stronę, gdzie przerzucony przez burłę zwiślał gruby, żelazny łańcuch. Na jego końcu znajdowała się ogromna żelazna kula, osiadła na piasku.

Conven chwycił łańcuch i szarpnął. Jęczał i napinał mięśnie, lecz mimo tego nie był w stanie jej unieść.

– Jest zbyt ciężka – burknął.

Conval i Thor pospieszyli mu na pomoc. Kiedy chwycili łańcuch we trzech i próbowali go wyciągnąć, Thora zdumiał jego ciężar: nawet we trzech byli w stanie unieść go jedynie na kilka stóp. W końcu dali za wygraną i kula ponownie zatopiła się w piasku.

– Pomogę wam – zaofiarował się Elden, występując naprzód.

Elden, który swoją ogromną posturą górował nad pozostałymi, chwycił łańcuch i szarpnął, i sam zdołał nieco unieść kulę. Thor był zdumiony. Pozostali przyłączyli się i ciągnęli jak jeden mąż, podciągając kotwicę o stopę za każdym szarpnięciem. W końcu udało im się przeciągnąć ją ponad burtą na pokład.

Łódź zaczęła się poruszać, bujając się lekko na falach, ale nadal tkwiła w piasku.

– Drągi! – powiedział Reece.

Thor odwrócił się i zobaczył dwa drewniane drągi, długie niemal na dwadzieścia stóp, spoczywające po dwu stronach łodzi, i pojął, w jakim celu się tam znajdują. Podbiegł z Reece'em do jednego z nich, a Conval i Conven chwycili drugi.

– Kiedy się odepchniemy – wykrzyknął Thor. – Postawcie żagle!

Wychylili się za burtę, wbili drągi w piasek i odepchnęli z całej siły; Thor aż jęknął z wysiłku. Łódź zaczęła się odrobinę poruszać. W tej chwili Elden i O'Connor podbiegli na środek łodzi i pociągnęli za liny, by postawić płócienne żagle, wciągając je z wysiłkiem, o stopę za jednym szarpnięciem. Na szczęście

wiała mocna bryza i kiedy Thor i inni odpychali od brzegu, próbując wydostać tę niespodziewanie ciężką łódź z piasku, żagle zaczęły wznosić się wyżej i łapać wiatr.

W końcu łódź zakołysała się pod nimi, ześlizgnąwszy się na wodę, i unosiła się to w górę, to w dół, lekka jak piórko. Ramiona Thora trzęsły się z wysiłku. Elden i O'Connor rozwinęli całkowicie żagle i wkrótce wypłynęli na pełne morze.

Z ust wszystkich wydobył się krzyk radości. Odłożyli drągi na ich miejsce i podbiegli do Eldena i O'Connora, by pomóc im umocować liny. Krohn, podekscytowany zamieszaniem, skomlał.

Łódź dryfowała bez celu. Thor podbiegł do steru, O'Connor tuż za nim.

– Chcesz objąć ster? – Thor spytał O'Connora.

O'Connor uśmiechnął się szeroko.

– Z przyjemnością.

Zaczynali nabierać prędkości, wypływając głębiej na żółte wody Tartuwianu. Wiatr im sprzyjał, popychając ich dalej. W końcu się poruszali. Thor wziął głęboki oddech. Płynęli.

Thor przeszedł na dziób łodzi, a Reece podążył za nim. Krohn stanął między nimi i łasił się o nogę Thora, który schylił się i przeczesał jego miękką, białą sierść. Krohn odwrócił się i polizał Thora. Ten sięgnął do małej sakiewki i wyciągnął stamtąd kawałek mięsa dla Krohna, który złapał je w locie.

Thor spojrzał na morze rozciągające się przed nimi. Odległy horyzont był poznaczony kropkami czarnych statków Imperium,

z całą pewnością zmierzających do części Kręgu należącej do McClouda. Na szczęście obrały inny cel i nie widziały pojedynczej łodzi, która zmierzała w kierunku ich ziem. Niebo było bezchmurne, w plecy wiał im silny wiatr i cały czas nabierali prędkości.

Thor patrzył w dal i myślał o tym, co ich czeka. Zastanawiał się, ile czasu minie, nim dotrą na ziemie Imperium, i jakie powitanie zgotują im obce krainy. Dumał nad tym, jak znajdą miecz, jak to wszystko się skończy. Wiedział, że ich szanse są nikłe, lecz i tak był uradowany wyprawą, zachwycony, że udało im się wytrwać tak długo. Palił się, by odzyskać Miecz.

– A jeśli go tam nie ma? – spytał Reece.

Thor odwrócił się i spojrzał na niego.

– Miecz – dodał Reece. – Co, jeśli go tam nie ma? Albo jeśli zaginął? Albo został zniszczony? Albo jeśli nigdy go nie znajdziemy? Imperium jest przecież ogromne.

– Albo jeśli Imperium dowiedziało się, jak nim władać? – głębokim głosem zapytał Elden, podszedłszy od tyłu.

– Co jeśli go znajdziemy, ale nie będziemy mogli zabrać go z powrotem? – spytał Conven.

Stali tak, udręczeni tym, co znajdowało się przed nimi: morzem pytań bez odpowiedzi. Ta wyprawa to szaleństwo, Thor wiedział o tym.

Szaleństwo.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gareth chodził tam i z powrotem po kamiennej posadzce gabinetu swego ojca – niewielkich rozmiarów komnaty na najwyższym piętrze zamku, którą jego ojciec ubóstwiał – i, krok po kroku, roznosił ją na strzępy.

Gareth krążył od regału do regału, rozszarpując cenne tomiścza, oprawione w skórę starożytne księgi, które należały do jego rodziny od wieków, rozdzierając oprawy i targając kartki na małe kawałeczki. Obsypywały go jak płatki śniegu, kiedy rozrzucał je w powietrzu, i przywierały do jego ciała i do śliny, która strużkami ściekała mu po brodzie. Był zdecydowany zniszczyć każdy przedmiot w tym miejscu, który jego ojciec kochał, księga po księdze.

Gareth podszedł do narożnego stolika, drżącymi dłońmi chwycił swoją fajkę do opium i zaciągnął się mocno. Nigdy nie potrzebował tego bardziej niż w tej chwili. Był uzależniony i palił opium w każdej możliwej chwili, zdecydowany za wszelką cenę powstrzymać wizje swojego ojca, które prześladowały go w snach, a ostatnio również na jawie.

Odkładając fajkę, Gareth ujrzał swego ojca. Stały przed nim jego rozkładające się zwłoki. Za każdym razem ciało było bardziej rozłożone, więcej kości niż mięsa; Gareth odwrócił oczy od tego strasznego widoku.

Na początku Gareth próbował atakować to widziadło –

nauczył się jednak, że nie odnosiło to żadnego skutku. Teraz po prostu odwracał głowę, bez ustanku spoglądał gdzie indziej. Zjawą była zawsze taka sama: jego ojciec w zardzewiałej koronie, z otwartą buzią i spojrzeniem pełnym wzdargy, wyciągał w jego stronę palec, wskazując na niego oskarżycielsko. W tym okropnym spojrzeniu Gareth wyczuwał, że jego dni są policzone, czuł, że to tylko kwestia czasu, nim dołączy do swego ojca. Niczego nie nienawidził tak bardzo, jak tych widziadeł. Jeśli z zamordowania jego ojca płynęła jakaś korzyść, to taka, że nie musiał już oglądać jego twarzy. Jak na ironię, teraz widywał ją częściej niż kiedykolwiek.

Gareth odwrócił się i cisnął fajką w zjawę, licząc na to, że jeśli zrobi to wystarczająco szybko, może rzeczywiście ją trafi.

Jednak fajka przecięła jedynie powietrze i rozbiła się w drobny mak, uderzywszy o ścianę. Jego ojciec wciąż stał przed nim i przypatrywał mu się.

– Te używki w niczym ci teraz nie pomogą – skarcił go.

Gareth nie był już w stanie dłużej tego znosić. Rzucił się na zjawę z wyciągniętymi rękami, chcąc podrapać twarz ojca; jednak, jak zawsze, przeleciał tylko przez powietrze i tym razem, potykając się, wylądował na twardym, drewnianym biurku ojca, które przewróciło się na ziemię wraz z nim.

Gareth przetoczył się po podłodze, pozbawiony tchu. Podniósł wzrok i spostrzegł, że rozciął sobie rękę. Krew ciekła mu przez ubranie, a kiedy spojrzał w dół, zauważył, że wciąż ma na sobie tę koszulę, w której sypiał od wielu dni; tak

naprawdę nie zmieniał jej od tygodni. Obejrzał się i ujrzał swoje odbicie: włosy miał tak skołtunione, że wyglądał nie lepiej niż jakiś pospolity oprych. Jakaś jego część nie mogła uwierzyć, że stoczył się tak nisko. Lecz innej było już wszystko jedno. Jedynym uczuciem, które w nim płonęło, była żądza zniszczenia – zniszczenia wszystkiego, co pozostało po jego ojcu. Chciałby zrównać z ziemią ten zamek i Królewski Dwór wraz z nim. Byłaby to zemsta za traktowanie, które musiał znosić, kiedy był dzieckiem. Te wspomnienia tkwiły w nim głęboko, jak cierń, którego nie mógł wyciągnąć.

Drzwi do gabinetu jego ojca otworzyły się szeroko i do środka wpadł jeden ze sług Garetha, spoglądając w dół z przerażeniem.

– Mój panie – powiedział sługa. – Usłyszałem huk. Czy wszystko w porządku? Panie, krwawisz!

Gareth rzucił chłopcu nienawistne spojrzenie. Próbował się podnieść i rzucić się na niego, ale poślizgnął się na czymś i ponownie padł na ziemię, oszołomiony po ostatnim uderzeniu opium.

– Panie, pozwól mi pomóc!

Chłopiec pospieszył do Garetha i ujął go pod wychudzone ramię, kości ledwie powleczone skórą.

Lecz Gareth miał jeszcze wystarczająco dużo siły, by odepchnąć chłopca, kiedy ten go dotknął, posyłając go na drugi koniec pomieszczenia.

– Tknij mnie jeszcze raz, a odetnę ci ręce – wysyczał.

Chłopiec cofnął się przestraszony, a wtedy do pomieszczenia

wszedł inny sługa. Towarzyszył mu starszy mężczyzna, który zdał się Garethowi znajomy. Po głowie kołatała mu się myśl, że go zna – nie pamiętał jednak skąd.

– Mój panie – rozległ się stary, schrypnięty głos. – Oczekiwaliśmy cię w sali rady królewskiej przez pół dnia. Członkowie rady nie mogą już dłużej czekać. Mają pilne nowiny i muszą się nimi z tobą podzielić, nim skończy się dzień. Zjawisz się, panie?

Gareth zmrużył oczy, przypatrując się mężczyźnie i łamiąc sobie głowę, kim też może on być. Pamiętał jak przez mgłę, że służył jego ojcu. Sala rady królewskiej... Spotkanie... Wszystko wirowało mu w głowie.

– Kimżeś jest? – spytał Gareth.

– Mój panie, jestem Aberthol. Zaufany doradca twego ojca – odrzekł, podchodząc bliżej.

Powoli Gareth zaczynał sobie wszystko przypominać. Aberthol. Rada. Spotkanie. Wszystko wirowało, a ból rozsadał mu czaszkę. Chciał tylko, by wszyscy zostawili go w spokoju.

– Zostawcie mnie – odburknął. – Przyjdę.

Aberthol skinął głową i pośpiesznie wyszedł z komnaty ze służącym, który zamknął za nimi drzwi.

Gareth podniósł się na kolana, twarz ukrył w dłoniach i próbował myśleć, przypomnieć sobie. Było tego tak dużo. Wszystko zaczynało powoli do niego wracać. Tarcza opadła, Imperium najechało, połowa jego dworu odeszła do Silesii, a przewodziła im jego siostra... Gwendolyn... O to chodziło. To

próbował sobie przypomnieć.

Gwendolyn. Pałał do niej taką nienawiścią, że nie potrafił tego nawet ubrać w słowa. Nigdy nie pragnął jej zabić bardziej niż dziś. *Musiał* ją zabić. Ona była odpowiedzialna za wszystkie problemy, które na niego spadły. Znajdzie sposób, by się na niej zemścić, choćby miał przy tym zginąć. A później zabije resztę swojego rodzeństwa.

Ta myśl poprawiła mu humor.

Podniósł się z ogromnym wysiłkiem i zataczając się przeszedł przez pokój, przewracając przy tym niewielki stolik. Podeszedłszy bliżej drzwi, dostrzegł alabastrowe popiersie swojego ojca, rzeźbę, którą jego ojciec ubóstwiał. Sięgnął do niej, chwycił za głowę i roztrzaskał o ścianę.

Rozbiła się na miliony kawałków. Gareth uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia. Może ten dzień nie będzie jednak taki zły.

*

Gareth wkroczył do sali w otoczeniu kilku sług, pchnąwszy dłonią ogromne dębowe drzwi, które rozwarły się z hukiem. Wszyscy zebrani w pomieszczeniu podskoczyli na jego widok i szybko stanęli na baczność.

Zwykle coś takiego przyniosłoby Garethowi odrobinę zadowolenia, tego dnia jednak zupełnie nie zwrócił na to uwagi. Prześladował go duch jego ojca i przepełniał gniew na siostrę,

która odeszła. Emocje kłębiły się w nim i musiały znaleźć jakieś ujście.

Gareth, zamroczony opium, ruszył przez ogromną salę niepewnym krokiem. Szedł środkiem przejścia w stronę tronu, mijając dziesiątki członków rady stojących po obu stronach. Na jego dworze roiło się od ludzi i tego dnia panowała tam gorączkowa energia, jako że wieści o odejściu połowy dworu oraz o opadnięciu tarczy docierały na coraz dalsze tereny. Jak gdyby każdy, kto pozostał we Królewskim Dworze, przybył po odpowiedzi.

Których, rzecz jasna, Gareth nie potrafił im udzielić.

Kiedy Gareth wchodził dumnie po schodach z kości słoniowej ku tronowi swojego ojca, zobaczył że stoi za nim cierpliwie pan Kultin, najemny dowódca jego osobistej siły zbrojnej – jedyny człowiek na dworze, któremu mógł jeszcze zawierzyć. U jego boku stały dziesiątki jego żołnierzy, w ciszy, z dłońmi na rękojeściach mieczy, gotowi walczyć dla Garetha do ostatniej kropli krwi. Była to jedyna rzecz, która jeszcze niosła mu ukojenie.

Gareth zasiadł na tronie i powiodł spojrzeniem po pomieszczeniu. Było tam tak wiele twarzy, kilka z nich rozpoznawał, ale wielu – nie. Nie ufał żadnemu z nich. Każdego dnia oczyszczał swój dwór i wielu z nich zesłał już do lochów, a jeszcze więcej oddał w ręce kata. Każdego dnia zabijał przynajmniej garść swych ludzi. Uważał, że to dobra strategia: mężczyźni mieli się na bacności i nie zajmowali się

organizowaniem żadnego zamachu na jego głowę.

Sala milczała, patrząc na niego w oszołomieniu. Wszyscy sprawiali wrażenie zbyt przerażonych, by przemówić. Właśnie taki efekt chciał osiągnąć. Nic nie wprawiało go w większy zachwyt, niż wzbudzanie strachu w swoich poddanych.

W końcu Aberthol postąpił naprzód. Uderzenia jego łaski odbijały się echem od kamiennej posadzki. Aberthol odchrząknął.

– Mój panie – odezwał się sędziwym głosem. – W Królewskim Dworze zapanował ogromny bezład. Nie wiem, które wieści już do ciebie dotarły: Tarcza opadła, Gwendolyn opuściła Królewski Dwór i zabrała ze sobą Kolka, Broma, Kendricka, Atme, Srebrną Gwardię, Legion i połowę twojej armii – oraz połowę Królewskiego Dworu. Ci, którzy tu pozostali, oczekują, że poprowadzisz ich i orzekniesz, jaki będzie nasz kolejny ruch. Ludzie chcą usłyszeć odpowiedzi, mój panie.

– Nadto – rzekł inny członek rady, którego Gareth ledwie rozpoznawał. – Rozeszły się wieści, że wróg przekroczył już Kanion. Mówią, że Andronicus ze swoją milionową armią najechał na Krąg po stronie McClouda.

Słumiony krzyk oburzenia wyrwał się z ust zebranych; dziesiątki odważnych wojowników szeptały między sobą, przepełnieni strachem. Panika rozniosła się po pomieszczeniu jak ogień.

– To nie może być prawda! – krzyknął jeden z żołnierzy.

– Niestety! – odrzekł z naciskiem członek rady.

– Zatem nie pozostał nawet cień nadziei! – wykrzyknął inny żołnierz. – Jeśli pokonali McCloudów, Imperium ruszy teraz na Królewski Dwór. Nie da się ich powstrzymać.

– Musimy przedyskutować warunki kapitulacji, mój panie – rzekł Aberthol do Garetha.

– Kapitulacji!?! – wykrzyknął inny mężczyzna. – Nigdy się nie poddamy!

– Jeśli tego nie zrobimy – krzyknął inny wojownik. – Zmiażdżą nas. Jak możemy stawić opór milionowi żołnierzy?

Po sali rozszedł się szmer oburzenia, żołnierze i członkowie rady kłócili się ze sobą w zupełnym chaosie.

Przewodniczący rady uderzył swoją żelazną laską o kamienną podłogę i krzyknął:

– SPOKÓJ!

Szmery stopniowo ucichły. Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na niego.

– Te decyzje należą do króla, nie do nas – powiedział jeden z członków rady. – Gareth jest prawowitym królem i nie do nas należy ustanawianie warunków kapitulacji – lub tego, czy w ogóle się poddamy.

Wszyscy zwrócili się w stronę Garetha.

– Mój panie – rzekł Aberthol wyczerpanym głosem. – Jak postąpimy w kwestii armii Imperium?

W sali zapadła martwa cisza.

Gareth siedział, patrząc na mężczyzn i chcąc im odpowiedzieć, jednak coraz trudniej było mu jasno myśleć.

Słyszał w głowie głos swego ojca, który krzyczał na niego, zupełnie jak wtedy, gdy był dzieckiem. Doprowadzało go to do obłędu. Głos nie zamierzał ucichnąć.

Gareth wyciągnął rękę i zaczął pocierać drewnianą poręcz tronu, raz za razem. Odgłos jego paznokci drapiących drewno był jedynym dźwiękiem w sali.

Członkowie rady wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Mój panie – ponaglił inny członek rady. – Jeśli zdecydujesz się nie poddawać, musimy natychmiast zacząć umacniać Królewski Dwór. Trzeba zabezpieczyć wszystkie wejścia, drogi, bramy. Musimy zwołać żołnierzy, przygotować linie obrony. Musimy przygotować się do oblężenia, racjonować pożywienie, chronić mieszkańców. Jest tak wiele do zrobienia. Proszę, panie. Rozkaż, co robić.

Raz jeszcze w sali zapadła cisza i spojrzenia zebranych skierowały się na Garetha.

W końcu Gareth uniósł głowę i spojrzał przed siebie.

– Nie będziemy walczyć z Imperium – stwierdził. – Ani się poddawać.

Wszyscy spojrzeli po sobie, zbici z pantafyku.

– Co w takim razie zrobimy, mój panie? – spytał Aberthol.

Gareth odchrząknął.

– Zabijemy Gwendolyn! – powiedział. – Jedynie to się teraz liczy.

Odpowiedziała mu cisza. Wszyscy byli w szoku.

– Gwendolyn? – zawołał zaskoczony członek rady, a w sali

rozległy się znowu pełne zdziwienia szepty.

– Poślemy za nią wszystkie nasze siły, by zabić ją oraz tych, którzy z nią uciekli, nim dotrą do Silesii – oznajmił Gareth.

– Lecz, mój panie, w czym nam to pomoże? – krzyknął jeden z członków rady. – Jeśli wyruszymy za nią w pogoń, to jedynie narazi nasze siły na atak. Zostaniemy otoczeni i rozgromieni przez Imperium.

– A Królewski Dwór będzie pusty i podatny na atak – wykrzyknął inny. – Jeśli nie zamierzamy się poddawać, musimy natychmiast umacniać Królewski Dwór!

Grupa mężczyzn krzyknęła z aprobatą.

Gareth odwrócił się i zmroził spojrzeniem członka rady.

– Poświęcimy każdego mężczyznę, by zabić moją siostrę! – powiedział ponuro. – Nie oszczędzimy ani jednego!

W sali zapadła cisza. Jeden z członków rady wstał, przesuwając krzesło z hałasem po kamiennej posadzce.

– Nie będę się przyglądał zgubie Królewskiego Dworu przez twoją prywatną obsesję. Nie stanę u twego boku!

– Ani ja! – zawtórowała mu połowa zebranych w sali mężczyzn.

Gareth poczuł, że gotuje się ze złości. Już miał wstać, gdy drzwi do komnaty otworzyły się i do środka wparował dowódca tego, co pozostało z armii. Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego. Ciągnął za sobą mężczyznę, zbira o tłustych włosach, nieogolonego, którego nadgarstki były skrępowane sznurem. Przeciągnął go na środek sali i zatrzymał się przed królem.

– Mój panie – powiedział chłodno dowódca. – Sześciu złodziei zostało straconych za kradzież Miecza Przeznaczenia. Ten mężczyzna jest siódmym, tym, który zbiegł. Opowiada niezwykłą historyjkę o tym, co według niego zaszło.

– Gadajże! – ponaglił dowódca, potrząsając zbirem.

Ten strzelił nerwowo oczami na wszystkie strony z niepewnym wyrazem twarzy. Tłuste strąki włosów przyklejały mu się do twarzy. W końcu wykrzyknął:

– Kazali nam ukraść miecz!

Po sali rozszedł się szmer oburzenia.

– Było nas dwunastu! – ciągnął dalej zbir. – Dwunastu miało go zabrać pod osłoną ciemności przez most na Kanionie do Diczcy. Ukryli go w wozie i przemycili przez most tak, żeby żołnierze stojący na warcie nie zorientowali się, co było w środku. Pozostałym, naszej siódemce, kazali zostać tam po kradzieży. Powiedzieli nam, że wrzucą nas do więzienia, na pokaz, a później uwolnią. Zamiast tego stracili moich przyjaciół. Taki sam los spotkałby mnie, gdybym nie uciekł.

W sali zapanował ożywiony szept.

– A dokąd zabrali miecz? – naciskał dowódca.

– Nie wiem. Gdzieś głęboko do Imperium.

– Z czyjego rozkazu?

– Jego! – zawołał zbir, odwracając się nagle i wskazując kościstym palcem Garetha. – Naszego króla! On rozkazał nam to zrobić!

W sali rozległ się szmer przerażenia i pojedyncze krzyki, aż

w końcu członek rady uderzył kilkakrotnie swoją żelazną laską, wołając o ciszę.

Pomieszczenie uspokoiło się, choć powoli.

Gareth, trzęsąc się ze strachu i gniewu, podniósł się powoli ze swego tronu, a w sali zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli na niego.

Gareth schodził powoli po schodach z kości słoniowej, stopień po stopniu, a jego kroki odbijały się echem w sali. Cisza była tak gęsta, że można ją było siekać.

Gareth przeszedł przez komnatę i stanął przed zbirem. Zmroził go spojrzeniem, zatrzymując się stopę od niego, a ten szarpał się w rękach dowódcy i strzelał oczami dokoła – wszędzie, byle nie na niego.

– Złodziei i kłamców w moim królestwie spotyka tylko jeden los – powiedział Gareth cicho.

Nagle Gareth dobył zza pasa sztylet i zatopił go w sercu zbira.

Mężczyzna krzyknął z bólu, aż oczy wyszły mu na wierzch, i gwałtownie osunął się na ziemię, martwy.

Dowódca obrzucił Garetha gniewnym spojrzeniem.

– Zamordowałeś właśnie świadka przeciwko sobie – rzekł dowódca. – Nie dostrzegasz, że świadczy to na twoją niekorzyść?

– Jakiego świadka? – zapytał Gareth, uśmiechając się. – Martwi nie mają prawa głosu.

Dowódca poczerwieniał.

– O ile nie zapomniałeś, jestem dowódcą połowy królewskiej armii. Nie pozwolę, byś robił ze mnie głupca. Wnioskując po twoich czynach, mogę jedynie stwierdzić, że jesteś winien

przestępstwa, o które cię oskarżył. A co za tym idzie, ani ja, ani moja armia nie możemy ci dłużej służyć. Tak w zasadzie arestuję cię za zdradę Kręgu!

Dowódca skinął na swoich ludzi i dziesiątki żołnierzy jak jeden mąż dobyły mieczy i wystąpiły naprzód, by arestować Garetha.

Pan Kultin postąpił naprzód z dwa razy większą ilością swoich ludzi, dobywających mieczy i stojących za Garethem.

Stali tak naprzeciw siebie, a Gareth między nimi.

Gareth uśmiechnął się triumfalnie do dowódcy. Siły Garetha przewyższały liczebnie ludzi dowódcy i ten zdawał sobie z tego sprawę.

– Nikt mnie nie arestuje – uśmiechnął się szyderczo Gareth. – A już z pewnością nie będziesz to ty. Zabierz swoich ludzi i opuść mój dwór – albo poznasz gniew mojej osobistej siły zbrojnej.

Po kilku pełnych napięcia sekundach dowódca odwrócił się i dał znak swoim ludziom, którzy jak jeden mąż wycofali się, postępując ostrożnie w tył z wyciągniętymi mieczami, i wyszli z sali.

– Od tego dnia – zagrzmiął dowódca. – Niech będzie wiadome, że już ci nie służymy. Sam stawisz czoła armii Imperium. Oby potraktowali cię dobrze. Lepiej niż ty swego ojca!

Żołnierze wypadli z sali. Towarzyszył im szczęk ich zbroi.

Dziesiątki członków rady, sług i możnowładców, którzy pozostali w pomieszczeniu, stali w ciszy, szepcząc między sobą.

– Zostawcie mnie! – krzyknął Gareth. – WSZYSCY!
Wszyscy szybko wyszli, włącznie z siłą zbrojną Garetha.
Jeden człowiek stał w miejscu i czekał, aż sala opustoszeje.
Pan Kultin.

On i Gareth byli sami w sali. Podszedł do Garetha, zatrzymując się kilka stóp przed nim i badawczo na niego spojrzał, jak gdyby go oceniał. Jak zwykle na jego twarzy nie było śladu żadnej emocji. Była to twarz prawdziwego najemnika.

– Nie dbam o to, co zrobiłeś, ani dlaczego – zaczął głosem chropowatym i ponurym. – Nie dbam o politykę. Jestem wojownikiem. Dbam jedynie o wynagrodzenie, które wypłacasz mnie i moim ludziom.

Zamilkł.

– Jednak ciekawi mnie i chciałbym wiedzieć: rzeczywiście rozkazałeś tym ludziom zabrać miecz?

Gareth spojrzał na mężczyznę. W jego oczach kryło się coś, co Gareth dostrzegał także u siebie: były zimne, bezlitosne, wyrachowane.

– A jeśli tak było? – zapytał Gareth.

Pan Kultin przypatrywał mu się przez długi czas.

– Ale dlaczego? – zapytał.

Gareth patrzył na niego w milczeniu.

Oczy Kultina rozszerzyły się, kiedy zrozumiał.

– Nie potrafiłeś go podnieść, więc nie chciałeś nikomu na to zezwolić – zapytał Kultin. – O to chodziło? – zamyślił się nad możliwymi konsekwencjami. – Niemniej jednak – dodał Kultin.

– Z całą pewnością wiedziałeś, że kiedy go odeślesz, Tarcza opadnie i narazi nas na atak.

Oczy Kultina otworzyły się szerzej.

– *Chciałeś*, aby nas zaatakowano, prawda? W głębi duszy pragniesz zniszczyć Królewski Dwór – powiedział, nagle wszystko pojmując.

Gareth uśmiechnął się.

– Nie wszystkim miejscom – powiedział powoli. – Przeznaczone jest trwać wiecznie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gwendolyn szła z ogromną świtą żołnierzy, doradców, sług, członków rady, Srebrną Gwardią, Legionem i połową Królewskiego Dworu, oddalając się – jak jedno wielkie, przemieszczające się miasto – od Królewskiego Dworu. Gwen czuła, jak buzują w niej emocje. Z jednej strony, była zachwycona tym, że uwolniła się od swojego brata Garetha i ten już jej nie dosięgnie, że otaczają ją zaufani żołnierze, którzy mogli ją obronić, że nie musiała się już obawiać, że Gareth ją zdradzi lub o to, że przyrzeknie komuś jej rękę. I nie będzie musiała już oglądać się ciągle za siebie ze strachu przed jego zabójcami.

Gwen odczuwała również natchnienie i pokorę płynącą z tego, że to ją wybrano, by rządziła, by przewodziła tej ogromnej grupie ludzi. Ogromna świta podążała za nią, jak gdyby była jakimś prorokiem, krocząc po niekończącej się drodze do Silesii. Widzieli w niej swego przywódcę – dostrzegala to w każdym ich spojrzeniu – i liczyli na nią. Czuła się winna, chciała by to jeden z jej braci dostąpił tego zaszczytu – ktokolwiek, byle nie ona. Widziała jednak, ile nadziei daje ludziom to, że mają sprawiedliwego i uczciwego przywódcę, i radowało ją to. Jeśli mogła być dla nich takim władcą, zwłaszcza w tych mrocznych chwilach, to nim będzie.

Gwen pomyślała o Thorze, o ich smutnym pożegnaniu

przy Kanionie, i to wspomnienie rozdarło jej serce; widziała, jak znika we mgle na moście nad Kanionem, wyruszając na wyprawę, która najpewniej doprowadzi go do śmierci. Była to bohaterska i szlachetna wyprawa – nie mogła mu jej odmówić – i wiedziała, że ktoś musi na nią wyruszyć, dla dobra królestwa, dla dobra Kręgu. Jednak wciąż zadawała sobie pytanie, dlaczego to właśnie *on* musiał się na nią wybrać. Chciałaby, by był to ktokolwiek inny. Nigdy tak bardzo jak dziś nie pragnęła, by był przy niej. W tym czasie chaosu, ogromnych zmian, gdy musiała rządzić zupełnie sama nosząc w łonie jego dziecko, chciała, by był u jej boku. Jednak jeszcze bardziej martwiła się o niego. Nie wyobrażała sobie życia bez niego; na samą myśl łzy cisnęły jej się do oczu.

Gwen odetchnęła głęboko i wzięła się w garść. Wiedziała, że wszystkie oczy zwrócone są na nią w tej niekończącej się karawanie na zakurzonej drodze, prowadzącej daleko na północ, w kierunku odległej Silesii.

Gwen była też wciąż w szoku, oderwana od rodzinnych ziem. Nie mieściło jej się w głowie, że pradawna Tarcza opadła, że wróg przekroczył Kanion. Odlegli szpiedzy donosili, że Andronicus już dotarł na ziemię McClouda. Nie miała pewności, którym wieściom zawierzyć. Trudno było jej pojąć, że to wszystko mogło dziać się tak szybko – przecież Andronicus musiałby przerzucić całą swoją flotę przez ocean. Chyba że jakimś cudem to McCloud stał za kradzieżą miecza i ukartował osłabienie Tarczy. Ale jak? Jak udało mu się go ukraść? Dokąd

go zabrał?

Gwen wyczuwała zniechęcenie wszystkich dokoła i nie miała im tego za złe. W tym tłumie panowała atmosfera przygnębienia; i był ku temu powód; bez Tarczy wszyscy stali się bezbronni. Była to tylko kwestia czasu – jeśli nie dziś, to nazajutrz lub dzień później – kiedy Andronicus ich najedzie. A kiedy to zrobi, nie będą w stanie odeprzeć jego ludzi. Wkrótce miejsce, które nauczyła się kochać i o które się troszczyła, zostanie zdobyte, a wszyscy, których kocha – zamordowani.

Szli, jak gdyby gotowali się na spotkanie ze śmiercią. Andronicus jeszcze tu nie dotarł, lecz oni już czuli się, jakby zostali pojmani. Przypomniało jej się coś, co jej ojciec kiedyś powiedział: podbij ducha armii, a bitwa jest już wygrana.

Gwen wiedziała, że to ona musi ich wszystkich natchnąć, dzięki niej muszą się poczuć bezpieczni, chronieni – i nawet, w jakiś sposób, musi tchnąć w nich optymizm. Była silnie zmotywowana, by to zrobić. Nie mogła pozwolić na to, by jej osobiste obawy lub pesymizm zwyciężyły w takiej chwili. I nie pozwalała sobie rozczulać się nad sobą. Teraz nie chodziło już wyłącznie o nią. Chodziło o tych ludzi, ich życia, ich rodziny. Potrzebowali jej. Wszyscy liczyli na jej pomoc.

Gwen pomyślała o swym ojcu i o tym, jak on postąpiłby na jej miejscu. Uśmiechnęła się na myśl o nim. Robiłby dobrą minę do złej gry, bez względu na okoliczności. Mówił jej zawsze, by skrywała strach za przechwałkami. Gwen pomyślała o jego życiu, i zdała sobie sprawę z tego, że jej ojciec nigdy nie

wyglądał na przestraszonego. Ani razu. Być może było to jedynie przedstawienie, lecz było to *dobre* przedstawienie. Wiedział, że jako przywódca jest cały czas na świeczniku, wiedział, że ludziom potrzebne jest takie *przedstawienie*, może nawet bardziej niż przywództwo. Za bardzo skupiał się na innych, by pograżać się w swoich obawach. Będzie brała z niego przykład. Podobnie jak on nie pozwoli, by jej obawy przejęły nad nią kontrolę.

Gwen obejrzała się i zobaczyła idącego obok Godfrey'a, a przy nim Illeprę, uzdrowicielkę; ci dwoje zajęci byli rozmową. Zauważyła, że zaczynali pałać do siebie coraz większą sympatią od chwili, gdy Illepra uratowała Godfreyowi życie. Gwen zapragnęła, by była przy niej reszta jej rodzeństwa. Lecz Reece wyruszył z Thorem, Garetha rzecz jasna pożegnała na zawsze, a Kendrick tkwił wciąż na swojej placówce gdzieś na wschodzie, pomagając w odbudowie jednego z odległych miast. Wysłała do niego posłańca z wiadomością – była to pierwsza rzecz, jaką zrobiła – i modliła się, by dotarła do niego na czas, by go sprowadzić, by zdążył dotrzeć do Silesii i pomóc jej w obronie. Wtedy przynajmniej dwóch spośród jej rodzeństwa – Kendrick i Godfrey – mogłoby znaleźć schronienie z nią w Silesii; i byłiby wszyscy razem. Oczywiście poza jej najstarszą siostrą, Luandą.

Po raz pierwszy od długiego czasu myśli Gwen skierowały się ku Luandzie. Między nią a jej starszą siostrą zawsze istniała zaciekle rywalizacja; Gwen nie zdziwiło więc zupełnie, gdy Luanda skorzystała z pierwszej możliwości, by opuścić

Królewski Dwór i poślubiła tego McClouda. Luanda zawsze była ambitna i zawsze chciała być pierwsza. Gwendolyn ją kochała i chciała być jak ona, gdy była młodsza; lecz Luanda, która chciała zawsze wygrywać, nie odwzajemniała tej miłości. Po jakimś czasie Gwen przestała się starać.

Teraz jednak było jej żal siostry; zastanawiała się, co się z nią stanie teraz, gdy Andronicus najechał McCloudów. Czy zostanie zabita? Gwen zadrżała na tę myśl. Były rywalkami, ale ostatecznie liczyło się tylko to, że były siostrami i nie chciała, by zginęła nim nadejdzie jej czas.

Gwen pomyślała o swojej matce, jedynym poza Garethem członku rodziny, który został tam, opuszczony w Królewskim Dworze, z Garethem, w tak okropnym stanie. Ta myśl przyprawiła ją o dreszcze. Mimo gniewu, jaki do niej czuła, Gwen nie chciała, by matka skończyła w ten sposób. Co się stanie, jeśli Królewski Dwór zostanie podbity? Czy jej matka zginie?

Gwen czuła, że jej starannie poukładane życie się rozsypuje, a ona nie może temu zaradzić. Miała wrażenie, że ledwie wczoraj było przesilenie letnie, ślub Luandy, wystawna uczta, Królewski Dwór opływający w dostatki, cała rodzina razem, świętowanie – a Kręgowi nic nie zagrażało. Wydawało jej się wtedy, że będzie to trwało wiecznie.

Teraz wszystko się rozsypywało. Nic nie było już takie, jak niegdyś.

Podniosły się chłodne podmuchy jesiennego wiatru i Gwen

otuliła się ciasniej wełnianym okryciem. Jesień była zbyt krótka tego roku; zbliżała się już zima. Czuła lodowaty wiatr, tym wilgotniejszy, im dalej na północy się znajdowali, idąc wzdłuż Kanionu. Zaczynało się szybciej ściemniać i powietrze przepełniał inny dźwięk – krzyki Zimowych Ptaków, czerwono-czarnych sępów, które pojawiały się wraz z nadejściem niższych temperatur. Ich nieustanne krakanie czasem drażniło Gwen. Było niczym dźwięk zbliżającej się śmierci.

Od chwili pożegnania z Thorem kierowali się wzdłuż Kanionu, na północ, wiedząc, że ta droga doprowadzi ich do najbardziej na zachód wysuniętego miasta w zachodniej części Kręgu – Silesii. Kiedy tak szli, przedziwna mgła wypływała falami z Kanionu, oplatając kostki Gwen.

– Niebawem będziemy na miejscu, pani – dobiegł ją głos.

Gwen odwróciła się i ujrzała obok siebie Sroga, w charakterystycznej czerwonej zbroi Silesii. Otaczało go kilku jego żołnierzy w czerwonych kolczugach i butach. Gwen urzekła dobroć, jaką okazywał jej Srog, jego lojalność wobec pamięci jej ojca, jego propozycja, by schronili się w Silesii. Nie wiedziała, co ona i pozostali zrobiliby w przeciwnym razie. Najpewniej tkwiliby dalej w Królewskim Dworze na łasce zdrajcy Garetha.

Srog był jednym z najbardziej honorowych możnowładców, jakich znała. Miał do dyspozycji tysiące żołnierzy i kontrolował słynną twierdzę zachodniej części Kręgu – nie musiał składać nikomu hołdu. A jednak złożył go jej ojcu. Układ sił między nimi zawsze był delikatny. W czasach ojca jej ojca Silesia

potrzebowała Królewskiego Dworu; w czasach jej ojca – już mniej; a w jej czasach – wcale. Tak naprawdę przez to, że Tarcza opadła, a w Królewskim Dworze zapanował chaos, to oni potrzebowali Silesii.

Oczywiście Srebrna Gwardia i Legion byli najświetniejszymi wojownikami, jacy chodzili po tej ziemi – podobnie jak tysiące oddziałów towarzyszących Gwen, które składały się na połowę armii Króla. Srog mógł jednak, podobnie jak większość możnowładców, zwyczajnie zamknąć bramy i dbać o własne interesy.

Zamiast tego odszukał Gwen, poprzysiągł jej lojalność i nalegał, że przyjmie ich wszystkich. Za tę dobroć Gwen pewnego dnia z pewnością w jakiś sposób mu odpłaci. Rzecz jasna, jeśli przeżyją.

– Nie troskaj się tym – odrzekła łagodnie, kładąc swą delikatną dłoń na jego nadgarstku. – Poszlibyśmy na koniec świata, gdyby tam leżało twoje miasto. Mamy dużo szczęścia, że okazujesz nam dobroć w tych ciężkich dla nas chwilach.

Srog się uśmiechnął. Był to wojownik w średnim wieku, o twarzy poranej bliznami zebranymi na polach bitwy, kasztanowatych włosach, wyraźnie zarysowanej linii szczęki, bez brody. Srog był bardzo męski, był nie tylko panem, ale i prawdziwym wojownikiem.

– Skoczyłbym w ogień za twoim ojcem – odrzekł. – Nie należą mi się podziękowania. To ogromny zaszczyt móc spłacić ten dług, pomagając jego córce. Wszak jego wolą było, byś to ty

objęła rządy. Odpowiadając przed tobą, odpowiadam przed nim.

Nieopodal Gwen szli Kolk i Brom, a za nimi rozchodził się niecichnący brzęk tysięcy ostróg, mieczy szczekających w pochwach, tarczy objijających się o zbroje. Była to ogromna kakofonia, przemieszczająca się coraz dalej na północ przy brzegu Kanionu.

– Pani – rzekł Kolk. – Dręczy mnie poczucie winy. Nie powinniśmy byli pozwolić Thorowi, Reece’owi i pozostałym wyruszyć samotnie do Imperium. Więcej żołnierzy powinno było się zgłosić, by wyruszyć z nimi. Będę winił siebie, jeśli coś im się stanie.

– Wybrali tę wyprawę – odrzekła Gwen. – To szczytna wyprawa. Kto miał na nią pójść, poszedł. Poczucie winy nic tu nie zmieni.

– A co się stanie, jeśli nie wrócą z Mieczem na czas? – zapytał Srog. – Armia Andronicusa rychło stanie u naszych bram.

– Wtedy stawimy opór – rzekła Gwen śmiało, zbierając w głosie tyle odwagi, ile potrafiła, w nadziei, że uspokoi pozostałych. Zauważyła, że inni generałowie odwrócili się i spojrzeli na nią.

– Będziemy się bronić do ostatniego uderzenia – dodała. – Nie uciekniemy, nie poddamy się.

Wyczuła, że generałowie są pod wrażeniem. Sama była pod wrażeniem własnego głosu. Wezbrała w niej taka siła, że nawet ją samą to zaskoczyło. Była to siła jej ojca, siła siedmiu pokoleń królów z rodu MacGil.

Nie zatrzymywali się. Nagle droga skręciła ostro w lewo i kiedy Gwen minęła zakręt, stanęła w miejscu. Ten widok zaparł jej dech w piersi.

Silesia.

Gwen pamiętała, że ojciec zabierał ją tu, kiedy była małą dziewczynką. Było to miejsce, które widywała od tamtej pory w swoich snach, miejsce, które wtedy owiane było jakąś magią. Teraz, gdy stanęła przed nim jako dorosła kobieta, nadal zapierało jej dech w piersi.

Silesia była najniezwykłym miastem, jakie Gwen kiedykolwiek widziała. Wszystkie budynki, fortyfikacje, kamień – wszystko zostało wzniesione ze starożytnej, błyszczącej czerwieni. Górna połowa Silesii, wysoka, strzelista, pełna balustrad i wież, została wybudowana nad ziemią, a dolna połowa miasta – pod nią, w ścianie Kanionu. Wirujące mgły Kanionu wpływały i wypływały, otulając miasto, roziskrzając czerwień w słońcu – i sprawiając wrażenie, że Silesia została wzniesiona w chmurach.

Fortyfikacje wznosiły się na sto stóp, zwieńczone były balustradami i umocnione niekończącym się rzędem murów. To była forteca. Nawet gdyby armia jakimś cudem przekroczyła mur, i tak musiałaby jeszcze zejść w dolną część miasta, klifami, i walczyć na skraju Kanionu. Była to wojna, której żaden najeźdźca nie chciałby prowadzić. Właśnie dlatego miasto stało niewzruszone od tysiąca lat.

Jej ludzie zatrzymali się, patrząc na miasto, i Gwen czuła, że

ich także ogarnął zachwyt.

Po raz pierwszy od długiego czasu Gwen poczuła przypływ optymizmu. To było miejsce, w którym mogli się zatrzymać, gdzie nie dosięgnie ich Gareth, miejsce, które mogli obronić. Miejsce, w którym mogła rządzić. I może – żywiła nadzieję – w którym królestwo MacGilów mogłoby się odrodzić.

Srog stał z rękoma wspartymi na biodrach, przyglądając się swemu miastu, jak gdyby widział je po raz pierwszy. W jego oczach błyszczała duma.

– Witajcie w Silesii.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Thor otworzył oczy o brzasku i ujrzał delikatnie kołyszące się wody oceanu, wznoszące się i opadające wysokie grzbiety fal rozświetlone miękkimi promieniami pierwszego słońca. Jasnożółte wody Tartuwianu skrzyły się w porannej mgle. Łódź unosiła się cicho na wodzie, a ciszę przerywał jedynie odgłos uderzających o nią fal.

Thor podniósł się i rozejrzał. Powieki ciążyły mu ze zmęczenia – tak naprawdę nigdy nie czuł się tak wykończony, jak teraz. Płynęli wiele dni i wszystko tutaj, po tej stronie świata, zdawało się inne. Powietrze było gęste od wilgoci, a temperatura – znacznie wyższa i Thor czuł się, jak gdyby oddychał pod nieustannym strumieniem wody. Morzył go przez to sen, a jego kończyny sprawiały wrażenie niezwykle ciężkich. Czuł się, jak gdyby przybył do lata.

Thor rozejrzał się i zauważył, że jego przyjaciele, zwykle na nogach przed świtem, teraz jeszcze spali, rozrzućeni w niedbałych pozach po pokładzie. Nawet Krohn, który nigdy nie spał, teraz drzemał obok niego. Gęsta tropikalna pogoda dała się wszystkim we znaki. Nikt już nawet nie próbował trzymać steru – poddali się kilka dni temu. Nie było sensu: żagle były zawsze w pełni rozwinięte i dał w nie silny zachodni wiatr, a magiczne fale tego oceanu nieustannie pchały ich łódź w jednym kierunku, jak gdyby przyciągało ich jedno miejsce. Kilka razy próbowali

chwycić ster albo zmienić kurs – lecz ich wysiłki na nic się nie zdawały. Poddali się więc Tartuwanowi i pozwolili mu nieść się tam, gdzie zamierzał ich doprowadzić.

I tak nie wiedzieli, w którą część Imperium się udać, pomyślał Thor. O ile fale doprowadzą ich na suchy ląd, myślał, to im wystarczy.

Krohn podniósł się i miauknął, po czym podszedł do Thora i polizał go po twarzy. Thor sięgnął do swojej sakwy, niemal pustej, i dał Krohnowi swój ostatni kawałek suszonego mięsa. Ku zaskoczeniu Thora, Krohn nie wyrwał mu go z dłoni jak zwykle; zamiast tego spojrzał na mięso, na pustą sakwę, a potem znacząco na Thora. Wahał się, czy wziąć jedzenie i Thor zrozumiał, że Krohn nie chciał pozbawiać go ostatniego kawałka pożywienia.

Thora poruszyło zachowanie Krohna, ale nalegał, wpychając mięso do pyska swojego przyjaciela. Thor wiedział, że niedługo skończy im się jedzenie i modlił się, by dotarli do lądu. Nie miał pojęcia, jak długo jeszcze potrwa ta podróż; co, jeśli będą tak płynąć miesiącami? Czym będą się żywić?

Słońce szybko wędrowało tu po nieboskłonie, i zbyt szybko jego promienie zaczynały oślepiać i palić. Mgła powoli podnosiła się znad wody. Thor wstał i przeszedł na dziób łodzi.

Zatrzymał się i rozejrzał dokoła. Pokład pod jego stopami delikatnie się kołysał. Thor spojrzał przed siebie, na rozpraszającą się mgłę. Zamrugnął, zastanawiając się, czy mu się nie przywidziało – na horyzoncie pojawił się odległy zarys lądu.

Serce zaczęło mu bić szybciej. Łą! To naprawdę łą!

Ziemia, która ukazała się jego oczom, odznaczała się najniezwyklejszym kształtem: były to dwa długie, wąskie półwyspy wysunięte w morze, niczym dwa końce wideł, i kiedy mgła się podniosła, Thor rozejrzał się na boki i z zaskoczeniem spostrzegł dwa pasy ziemi po każdej stronie, każdy w odległości około pięćdziesięciu jardów. Wciągało ich prosto w środek długiej zatoczki.

Thor gwizdnął, budząc swoich braci legionistów. Podpierając się rękami, szybko się podnieśli i pospieszyli w jego stronę. Stanęli na dziobie i rozejrzeli się.

Zaparło im dech w piersi: ta kraina miała najbardziej egzotyczne brzegi, jakie do tej pory widzieli, porośnięte gęstą puszcza, o strzelistych drzewach wczepionych w linię brzegową, rosnących tak gęsto, że nie dało się dostrzec, co kryje się za nimi. Thor spostrzegł ogromne paprocie, wysokie na trzydzieści stóp, pochylające się nad wodą oraz żółte i fioletowe drzewa, które zdawały się sięgać niebios. Zewsząd dochodziły ich nieznane i niecichnące odgłosy zwierząt, ptaków, owadów i kto wie, czego jeszcze, warczących, krzyczących i śpiewających.

Thor przełknął ślinę. Czuł, że wkraczają w nieprzeniknione królestwo zwierząt. Wszystko było tu inne; powietrze pachniało inaczej, obco. Nic tutaj ani trochę nie przypominało Kręgu. Pozostali legioniści odwrócili się i spojrzeli po sobie. Thor dostrzegł wahanie w ich oczach. Wszyscy zastanawiali się, jakie stwory czekały na nich w gęstwinie tej dżungli.

I tak nie mieli wyboru. Prąd znosił ich w jednym kierunku i najwidoczniej to tutaj musieli wysiąść na ziemie Imperium.

– Patrzcie! – krzyknął O'Connor.

Podbiegli do burty, za którą wychylał się O'Connor i spojrzeli w kierunku czegoś, co wskazywał im w wodzie. Przy łodzi płynął ogromny owad, świetliście fioletowy, długi na dziesięć stóp, o setkach odnóży. Pobłyskiwał pod falami, po czym częściowo się wynurzył; wtedy tysiące jego małych skrzydełek zaczęły poruszać się z niezwykłą szybkością i owad uniósł się tuż nad wodę. Po chwili znowu ślizgał się po jej powierzchni, po czym gwałtownie rzucił się w dół. I powtórzył wszystko od początku.

Kiedy się mu przyglądali, nagle uniósł się wyżej, na wysokość wzroku chłopców i zawisł w powietrzu, wpatrując się w nich swoimi czterema sporymi zielonymi ślepiami. Zasyczał i wszyscy mimowolnie odskoczyli, chwytając za miecze.

Elden postąpił naprzód i zamachnął się na niego. Lecz kiedy jego miecz przecinał powietrze, owad był już z powrotem w wodzie.

Thor i pozostali przewrócili się na pokład, gdy ich łódź gwałtownie zatrzymała się na brzegu.

Serce Thora zabiło szybciej, gdy spojrzął za burłę: pod nimi znajdował się wąski pas plaży składający się z tysięcy małych, ostro zakończonych kamyków w kolorze żywego fioletu.

Ląd. Udało im się.

Elden jako pierwszy ruszył do kotwicy. Pozostali chłopcy podążyli za nim i wspólnymi siłami unieśli ją i przerzucili na

zewnątrz. Wszyscy zeszli po łańcuchu, zeskakując z niego na ziemię. Thor podał Eldenowi Krohna, gdy posuwał się w dół.

Thor westchnął, kiedy postawił stopę na lądzie. Dobrze było poczuć ziemię – suchy, stały ląd – pod stopami. Nie miałby nic przeciwko temu, by już nigdy nie wsiadać na łódź.

Chwycili liny i wciągnęli łódź tak głęboko na brzeg, jak się dało.

– Myślicie, że przyptyw ją zabierze? – spytał Reece, przypatrując się łodzi.

Thor spojrzał na nią; wydawała się tkwić mocno w piasku.

– Nie z tą kotwicą – powiedział Elden.

– Przyptyw jej nie zabierze – powiedział O'Connor. – Lecz to nie oznacza, że nie zrobi tego nikt inny.

Thor przyjrzał się łodzi po raz ostatni i zdał sobie sprawę z tego, że przyjaciel ma rację. Nawet jeśli odnajdą miecz, po powrocie mogą zastać pusty brzeg.

– Jak wtedy wrócimy? – spytał Conval.

Thor miał wrażenie, że na każdym kroku tej wyprawy palą za sobą kolejne mosty.

– Znajdziemy jakiś sposób – powiedział Thor. – Wszak w Imperium muszą być inne łodzie, prawda?

Thor starał się brzmieć pewnie, by uspokoić swoich przyjaciół. Jednak gdzieś w głębi duszy sam nie był do końca przekonany. Miał coraz gorsze przeczucia co do tej wyprawy.

Jak jeden mąż wszyscy odwrócili się i spojrzeli na dżunglę. Była to ściana listowia, za którą kryła się czerni. Odgłosy zwierząt

rozchodziły się wokół nich kakofonią tak głośną, że Thor ledwie słyszał własne myśli. Jak gdyby każda bestia Imperium krzyczała, by ich powitać.

Albo ostrzec.



Thor i pozostali przedzierali się ramię przy ramieniu, ostrożnie, przez gęstą tropikalną dżunglę. Każdy z nich był czujny. Thorowi trudno było usłyszeć własne myśli – tak natarczywe były krzyki i nawoływania orkiestry owadów i ptaków dokoła. Mimo tego, gdy próbował dojrzeć coś w ciemności, nie udawało mu się nic zobaczyć.

Krohn siedł przy jęgu nodze powarkując, z sierścią najeżoną na grzbiecie. Thor nigdy nie widział, by był tak czujny. Obejrzał się na swoich towarzyszy broni i zobaczył, że wszyscy, jak on, trzymają dłoń na rękojeści miecza, a nerwy mają napięte jak postronki.

Wędrowali już kilka godzin, zapuszczając się coraz głębiej w dżunglę, powietrze stawało się coraz cieplejsze i gęstsze, bardziej wilgotne, coraz trudniej było oddychać. Szli po śladach czegoś, co kiedyś było chyba przesieką – kilka złamanych gałęzi wskazywało na drogę, którą mogli obrać przybyli tu ludzie. Thor żywił nadzieję, że była to ścieżka tych, którzy ukradli miecz.

Thor spojrzał w górę, podziwiając przyrodę: wszystko tu osiągało niebosiężne rozmiary, każdy liść był tak wielki, jak on

sam. Czuł się jak owad w krainie olbrzymów. Widział, że coś porusza się za liśćmi, ale nie mógł dostrzec, co się tam kryło. Miał złe przeczucie, że są obserwowani.

Szlak zakończył się nagle gęstą ścianą listowia. Wszyscy zatrzymali się i spojrzeli po sobie, zbici z pantałyku.

– Szlak nie może po prostu zniknąć! – powiedział O'Connor, nagle tracąc nadzieję.

– Nie zniknął – powiedział Reece, przyglądając się liściom. – Dżungla po prostu ponownie zarosła.

– Którędy teraz? – spytał Conval.

Thor obrócił się i rozejrzał wokół, zastanawiając się nad tym samym. Zewsząd otaczała ich gęsta ściana listowia i zdawało się, że nie ma stamtąd wyjścia. Thor miał złe przeczucie i czuł się coraz bardziej zagubiony.

Nagle coś przyszło mu do głowy.

– Krohn – powiedział, klękając i szepcząc mu do ucha. – Wdrap się na to drzewo. Bądź naszymi oczami. Powiedz nam, którądy wiedzie droga.

Krohn spojrzał na niego przenikliwie i Thor czuł, że go rozumiał.

Krohn pognął w stronę ogromnego drzewa, o pniu szerokim na dziesięciu mężczyzn, bez zastanowienia na nie skoczył i zaczął pięć się w górę. Wspiął się na jego wierzchołek, po czym przeskoczył na jedną z najwyższych gałęzi. Przeszedł na sam jej koniec i rozejrzał się, uszy postawił na sztorc. Thor zawsze przeczuwał, że Krohn go rozumie, a teraz miał co do tego

pewność.

Kron odchylił się w tył i wydał z siebie dziwny, gardłowy pomruk, po czym zbiegł w dół pnia i wystrzelił w jednym kierunku. Chłopcy wymienili zaciekawione spojrzenia, po czym wszyscy się odwrócili i podążyli za Krohnem w leśną gęstwinę, odgarniając grube liście, które zagradzały im drogę.

Po kilku minutach Thor z ulgą zauważył, że ścieżka znowu się pojawia – ślady w postaci złamanych gałęzi i listowia wskazywały drogę, którą podążali mężczyźni. Thor pochylił się i poklepał Krohna, całując go w głowę.

– Nie wiem, co byśmy zrobili bez niego – rzekł Reece.

– Ja również – odpowiedział Thor.

Krohn zamruczał, dumny i zadowolony.

Kiedy zapuścili się krętą ścieżką głębiej w dżunglę, natrafili na ścianę nowego listowia, o ogromnych kwiatach wielkości Thora, mieniących się wszystkimi możliwymi barwami. Z innych drzew zwieszały się owoce wielkości głazów.

Wszyscy zatrzymali się w zadziwieniu, a Conval podszedł do jednego z owoców, kuszącego czerwienią i wyciągnął rękę, chcąc go dotknąć.

Nagle rozległ się głęboki, gardłowy warkot.

Conval cofnął się i chwycił swój miecz, a pozostali spojrzeli po sobie z niepokojem.

– Co to było? – spytał Conval.

– Odgłos dobiegł stąd – powiedział Reece, wskazując na inną część dżungli.

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli. Lecz Thor nie dostrzegł nic prócz liści. Krohn zawarczał na coś w ciemności.

Dźwięk narastał i stawał się coraz bardziej natarczywy. W końcu liście zaczęły się poruszać. Thor i pozostali cofnęli się o krok, dobyli mieczy i trwali w bezruchu, spodziewając się najgorszego.

To, co wyłoniło się z leśnej gęstwiny, przekroczyło nawet najśmielsze oczekiwania Thora. Stał przed nimi ogromny owad, pięć razy większy od Thora, przypominający modliszkę, o dwóch tylnych odnóżach i dwóch mniejszych przednich, które zwisały w powietrzu i były zakończone ostrymi szponami. Był fluorescencyjnie zielony, pokryty łuskami i miał niewielkie skrzydła, brzęczące i rozedrgane. Na czubku jego głowy znajdowało się dwoje ślepi i trzecie na czubku nosa. Wyciągnął odnóża i odsłonił jeszcze więcej szponów – skrytych pod gardłem – które drgały i uderzały o siebie z trzaskiem.

Owad stał tak nad nimi, gdy kolejne szpony wysunęły się z jego brzucha – długa, stercząca, chuda ręka – i nagle tak szybko, że nikt nie zdołał zareagować, sięgnął po O'Connora. Chwycił go, zaciskając na nim trzy rozrastające się szpony, które owinęły się wokół jego pasa. Uniósł go wysoko w górę, jak gdyby był piórkiem.

O'Connor zamachnął się mieczem, lecz zrobił to zdecydowanie za wolno. Stwór potrząsnął nim kilka razy, po czym otworzył nagle paszczę, ukazując rzędy ostrych zębów, odwrócił O'Connora bokiem i zaczął zbliżać do paszczy.

O'Connor wydał z siebie krzyk, gdy w oczy zająrzało mu widmo nagłej i bolesnej śmierci.

Thor nie zwlekał. Bez zastanowienia umieścił kamień w swojej procy, obrał cel i cisnął nim w trzecie ślepie stwora, znajdujące się na czubku jego nosa.

Był to celny strzał. Stwór wrzasnął – a był to okropny dźwięk, głośny na tyle, by przeciąć drzewo wpół. Wypuścił O'Connora, który obróciwszy się kilka razy w powietrzu wylądował na miękkim runie dżungli.

Wtedy bestia, rozwścieczona, przeniosła wzrok na Thora.

Thor wiedział, że stawianie oporu i walka z tym stworem byłyby daremne. Najmniej jeden z jego braci by zginął, Krohn pewnie też, i pozbawiłoby ich to cennych resztek sił. Pomyślał, że może weszli na jego terytorium i jeśli szybko stamtąd odejdą, bestia zostawi ich w spokoju.

– UCIEKAJCIE! – krzyknął.

Odwrócili się i zaczęli biec. Bestia ruszyła za nimi.

Thor słyszał, jak szpony stwora przecinają gęste listowie tuż za nimi, świszcząc w powietrzu i omijając jego głowę o kilka stóp. Strzępy liści fruwały w powietrzu i spadały na nich. Legioniści biegli jak jeden mąż i Thor przeczuwał, że jeśli tylko uda im się zyskać przewagę nad stworem, uda im się też znaleźć schronienie. Jeśli nie, będą musieli stanąć do walki.

Nagle biegnący obok niego Reece przewrócił się, potknąwszy się o gałąź i wpadłszy twarzą w listowie. Thor wiedział, że nie zdąży wstać, zatrzymał się więc przy nim, dobył miecza i

zagroził drogę bestii.

– BIEGNIJCIE DALEJ! – krzyknął Thor przez ramię do pozostałych, stojąc obok Reece’a, gotów go bronić.

Stwór rzucił się na niego z rykiem i zamachnął szponem na jego twarz. Thor zrobił unik i jednocześnie zamachnął się mieczem. Bestia wydała z siebie przeraźliwy krzyk, kiedy Thor odciął jeden z jej szponów. Zielony płyn wytrysnął z rany i opryskał Thora, który podniósł wzrok i zobaczył z przerażeniem, że szpon bestii odrasta równie szybko, jak został odcięty. Jak gdyby Thor nigdy jej nie zranił.

Thor przełknął ślinę. Nie da się zabić tej bestii. A on ją rozwścieczył.

Bestia zamachnęła się jeszcze inną ręką, sięgającą z jakiegoś innego miejsca na jej ciele i uderzyła Thora mocno w brzuch, wyrzucając go w powietrze tak, że wylądował na kępie drzew. Zbliżyła jeden ze swych szponów ku Thorowi i Thor wiedział, że jest w tarapatach.

Elden, O’Connor i bliźniacy rzucili się naprzód i gdy stwór zbliżył się z kolejnym szponem do Thora, O’Connor posłał strzałę prosto w jego paszczę. Strzała utkwiała w tyle gardła i bestia wydała z siebie głośny ryk. Elden sięgnął po swój dwuręczny topór i uderzył w plecy stwora, a Conven i Conval rzucili po włócznie, trafiając z obu stron jego gardła. Reece skoczył na nogi i zatopił ostrze miecza w jej brzuchu. Thor podskoczył i zamachnął się mieczem na kolejną rękę bestii, odcinając ją. Krohn dołączył do nich, skoczył na stwora i

zanurzył kły w jego gardle.

Bestia wydawała z siebie krzyk za krzykiem, kiedy zadawali jej więcej ran, niż Thor myślał, że jest możliwe. Thor pomyślał, że to niesamowite, że bestia jeszcze trzyma się na nogach, a jej skrzydła wciąż drgają. Ten stwór nie zamierza umrzeć.

Patrzyli z przerażeniem, jak – po kolei – bestia chwyta i zaczyna wyciągać włócznie, miecze i topór ze swojego ciała – a wszystkie rany goją się w okamgnieniu.

Tej bestii nie dało się pokonać.

Bestia wygięła się w tył i ryknęła tak głośno, że legioniści spojrzeli w górę, w szoku. Dali z siebie wszystko, próbując ją zranić, a nie zadali jej nawet niewielkich ran.

Bestia szykowała się do kolejnego ataku, wystawiając ostre jak brzytwa zęby i szpony i Thor zdał sobie sprawę z tego, że nic więcej nie mogli już zrobić. Wszyscy zginą.

– Z DROGI! – rozległ się nagle krzyk.

Głos dochodził zza Thora i brzmiał młodo. Thor odwrócił się i zobaczył małego chłopca, w wieku może jedenastu lat, który biegł w ich kierunku, trzymając w dłoni coś, co wyglądało na dzban z wodą. Thor uchylił się, a chłopiec wylał wodę na pysk bestii.

Stwór wygiął się w tył i zaskrzeczał, a z jego pyska zaczęła unosić się para. Bestia wyciągnęła szpony ku twarzy i pocierała nimi po policzkach, ślepiach, głowie. Ryczała cały czas, i to tak głośno, że Thor musiał zakryć uszy dłońmi.

W końcu odwróciła się i wystrzeliła z powrotem w dżunglę,

znikając w listowiu.

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na chłopca zdumieni, z nowo odkrytą wdzięcznością. Chłopiec ubrany był w łachmany, miał długawe, brązowe włosy i bladozielone oczy o inteligentnym wejrzeniu, cały był pokryty pyłem. Jego bose stopy i brudne ręce wskazywały na to, że tu mieszkał.

Thor nigdy nie był nikomu tak wdzięczny jak jemu w tej chwili.

– Oreżem nic nie wskóracie przy gatorbestii – powiedział chłopiec, przewracając oczyma. – Mielicie fart, że usłyszałem krzyki i byłem niedaleko. W przeciwnym razie już byście nie żyli. Nie wiecie, że nigdy nie staje się na drodze gatorbestii?

Thor spojrzał na swoich przyjaciół, oniemiały.

– Nie stanęliśmy jej na drodze – rzekł Elden. – To ona stanęła nam na drodze.

– One nigdy nie stają nikomu na drodze – powiedział chłopiec. – Chyba że wkroczycie na ich terytorium.

– Co powinniśmy byli zrobić? – spytał Reece.

– Cóż, przede wszystkim nie patrzeć jej w ślepia – odrzekł chłopiec. – A jeśli zaatakuje, położyć się twarzą do ziemi i poczekać, aż odejdzie. I najważniejsze, nigdy, przenigdy nie próbować uciekać.

Thor postąpił krok naprzód i położył dłoń na ramieniu chłopca.

– Ocaliłeś nam życie – powiedział. – Jesteśmy twymi dłużnikami.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Nie wyglądacie na żołnierzy Imperium – powiedział. – Wyglądacie, jakbyście przybyli z jakiegoś innego miejsca w świecie. Dlaczego więc nie miałbym wam pomóc? Wyglądacie jak ta grupa, która przyszła z łodzi kilka dni temu.

Thor i pozostali wymienili porozumiewawcze spojrzenia i zwrócili się do chłopca.

– Wiesz, którądy poszła ta grupa? – spytał Thor.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Było ich wielu i nieśli jakąś broń. Wyglądała na ciężką – wszyscy musieli ją podtrzymywać. Tropiłem ich wiele dni. Łatwo było ich wytropić. Poruszali się powoli i byli przy tym niezdarni i nieuważni. Wiem, dokąd poszli, choć nie tropiłem ich daleko za wioską. Mogę was tam zaprowadzić i wskazać właściwy kierunek, jeśli chcecie. Ale nie dziś.

Wszyscy wymienili skonsternowane spojrzenia.

– Dlaczego nie? – spytał Thor.

– Za kilka godzin zapadnie noc. Nie można być na zewnątrz po zmierzchu.

– Ale dlaczego? – zapytał Reece.

Chłopiec spojrzał na niego jak na szaleńca.

– Etabugi – odrzekł.

Thor zrobił krok naprzód i spojrzał na chłopca. Od razu zapalał do niego sympatią. Był inteligentny, poważny, nieustraszony i zdawał się mieć wielkie serce.

– Znasz jakieś miejsce, w którym moglibyśmy się schronić

przez noc?

Chłopiec spojrzał na Thora i wzruszył ramionami z niepewną miną. Wahał się.

– Chyba nie powinienem – powiedział. – Dziadek będzie zły.

Nagle Krohn wychynął zza Thora i podszedł do chłopca – jego oczy rozpromieniły się radością.

– Jejku! – krzyknął.

Krohn zaczął lizać chłopca po twarzy, a ten śmiejąc się radośnie wyciągnął rękę i pogłodził Krohna po głowie. Chłopiec przyklęknął, opuścił włócznię i objął Krohna. Zdawało się, że Krohn też go objął i chłopiec zaczął się śmiać bez opamiętania.

– Jak się wabi? – zapytał chłopiec. – Co to jest?

– Wabi się Krohn – powiedział Thor z uśmiechem. – To rzadki gatunek białej pantery. Pochodzi zza oceanu. Z Kręgu. My też stamtąd pochodzimy. Polubił cię.

Chłopiec pocałował Krohna kilka razy, po czym w końcu wstał i spojrzał na Thora.

– Cóż – powiedział chłopiec z wahaniem. – Chyba mogę was zaprowadzić do naszej wioski. Oby dziadek za bardzo się nie złościł. Jeśli się zezłości, będziecie w tarapatkach. Chodźcie za mną. Musimy się pospieszyć. Za chwilę zapadnie zmrok.

Chłopiec odwrócił się i zaczął przedzierać się przez dżunglę, a Thor i pozostali ruszyli za nim. Thor był zdumiony zręcznością chłopca i tym, jak dobrze znał dżunglę. Trudno było za nim nadążyć.

– Ludzie pojawiają się tutaj od czasu do czasu – odezwał się

chłopiec. – Ocean, prąd niosą ich prosto do przystani. Niektórzy ludzie idąc od morza przecinają tędy, w drodze w jakieś inne miejsce. Większości z nich nie udaje się przeżyć. Pożera ich któryś z leśnych stworów. Wy mieliście szczęście. Są tu stwory znacznie gorsze niż gatorbestie.

Thor przełknął ślinę.

– Gorsze niż to? Na przykład jakie?

Chłopiec pokręcił głową, nie przerywając wędrówki.

– Nie chcecie wiedzieć. Byłem tu świadkiem strasznych rzeczy.

– Jak długo tu jesteś? – spytał Thor, zaintrygowany.

– Całe życie – odrzekł chłopiec. – Mój dziadek nas tu przeniósł, kiedy byłem mały.

– Ale czemu tutaj, w to miejsce? Z pewnością istnieją miejsca bardziej przyjazne niż to.

– Nie znasz Imperium, prawda? – spytał chłopiec. – Wszędzie są żołnierze. Nie tak łatwo się przed nimi ukryć. Jeśli nas złapią, zrobią z nas niewolników. Ale tutaj rzadko się zapuszczają – nie tak głęboko w dżungłę.

Kiedy przedzierali się przez gęstwinę listowia, Thor uniósł dłoń, żeby odsunąć liść ze swojej drogi, lecz chłopiec odwrócił się i odepchnął jego rękę, krzycząc:

– NIE DOTYKAJ TEGO!

Wszyscy się zatrzymali, a Thor spojrzał na liść, którego niemal dotknął. Był ogromny, żółty i zdawał się być zupełnie nieszkodliwy.

Chłopiec uniósł swój kij i lekko przytknął jego koniec do liścia. Kiedy to zrobił, liść nagle i niezwykle szybko owinał się wokół niego. Towarzyszył temu świszczący dźwięk. Czubek kija wyparował.

Thor był w szoku.

– Liść rankli – powiedział chłopiec. – Trucizna. Gdybyś go dotknął, nie miałbyś już dłoni.

Thor rozejrzał się po listowiu z nowo odkrytym szacunkiem. Nie mógł się nadziwić, jak dużo mieli szczęścia, że spotkali tego chłopca.

Ruszyli w dalszą wędrówkę. Teraz wszyscy trzymali już ręce blisko ciała. Starali się bardziej uważać, patrzeć pod nogi.

– Trzymajcie się blisko siebie i idźcie dokładnie po moich śladach – powiedział chłopiec. – Niczego nie dotykajcie. Nie próbujcie jeść tych owoców. I nie wążajcie tych kwiatów – chyba że chcecie zemdleć.

– Hej, a to co? – zapytał O'Connor, odwracając się i patrząc na ogromny owoc zwieszający się z gałęzi, długi i wąski, błyszczący na żółto. O'Connor zrobił krok w jego stronę, wyciągając dłoń.

– NIE! – krzyknął chłopiec.

Lecz było już za późno. Kiedy go dotknął, ziemia pod nimi zapadła się i Thor poczuł, że ześlizguje się w dół, osuwając się po zboczu spływającym błotem i wodą. Spadali z lawiną błota i nie mogli się zatrzymać.

Z krzykiem sunęli w dół przez setki stóp, prosto w czarną otchłań dżungli.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Erec siedział na końskim grzbiecie i oddychał ciężko, przygotowując się do ataku na dwustu wojowników, którzy stali przed nim. Walczył mężnie i udało mu się położyć pierwszych stu – lecz teraz jego ramiona osłabły, ręce zaczęły drżeć. Jego umysł mógł walczyć po wsze czasy – lecz nie wiedział, jak długo jego ciała starczy sił, by dotrzymać mu kroku. Zamierzał dać z siebie wszystko, jak we wszystkim, co robił przez całe swoje życie, i pozwolić przeznaczeniu podejmować decyzje.

Erec krzyknął i ponaglił kopnięciem konia, którego ukradł jednemu z przeciwników, i przypuścił szarżę na żołnierzy.

Oni zaszarżowali na niego, zagłuszając jego samotny okrzyk swoim, wściekłym. Na tym polu przelało się już sporo krwi i najwyraźniej żadna ze stron nie zamierzała odejść, dopóki nie wykończy przeciwnika.

Kiedy szarżował, Erec dobył zza pasa noża, wycelował i cisnął przed siebie w dowodzącego żołnierza. Był to rzut idealny – Erec trafił w gardło i wojownik złapał się za szyję, puszczając wodze i spadając z konia. Wpadł pod kopyta innych koni, i kilka z nich potknęło się o niego i przewróciło na ziemię. Erec właśnie na to liczył.

Uniósł oszczep w jednej ręce, tarczę w drugiej, opuścił zasłone hełmu i natarł z całych sił. Miał zamiar zaszarżować na tę armię najszybciej i najmocniej, jak tylko potrafił, przyjąc

wszystkie uderzenia, które miały na niego spaść i wyciąć linię przez środek wojska.

Erec z krzykiem przypuścił szarżę na grupę. Wszystkie te lata potyczek na turniejach opłaciły się – Erec z wielką wprawą użył oszczepu, kładąc jednego żołnierza po drugim, strącając ich po kolei. Pochylił się nisko, a w drugiej ręce trzymał tarczę, którą się osłaniał; czuł, że zewsząd spada na niego grad ciosów, na jego tarczę, na jego zbroję. Uderzały w niego miecze, topory i buzdygany, istna burza metalu, i Erec modlił się, by jego zbroja wytrzymała. Zaciśnął mocniej dłoń na oszczepie, strącając tyłu wojowników, ilu się dało, kiedy szarżował, wycinając sobie ścieżkę w tej sporej grupie.

Erec nie zwalniał i po mniej więcej minucie jazdy w końcu wynurzył się po drugiej stronie, znalazł się na otwartej przestrzeni. Przejechał siejąc zniszczenie przez środek grupy żołnierzy. Zabił najmniej dwunastu z nich – ale nie przyszło mu to łatwo. Ciężko oddychał, jego ciało rozrywał ból, brzęk metalu wciąż rozbrzmiewał mu w uszach. Czuł się tak, jak gdyby przepuszczono go przez przyrząd do mielenia. Spojrzał w dół i zobaczył, że jest pokryty krwią; na szczęście nie czuł, by zadano mu jakieś większe rany. Wyglądało na to, że to tylko niewielkie rozcięcia i draśnięcia.

Erec zatoczył ogromne koło, odwracając się znowu w stronę armii i gotując się na kolejne starcie. Ci również odwrócili się, szykując się raz jeszcze do szarży. Erec był dumny ze swych dotychczasowych zwycięstw, lecz coraz trudniej było mu złapać

oddech i wiedział, że jeszcze jedno przejście przez tę grupę może go wykończyć. Mimo tego gotował się do kolejnej szarży. Nigdy się nie poddawał.

Nagle na tyłach armii rozległy się niespodziewane krzyki i Erec ze zdumieniem ujrzał, że jakiś oddział żołnierzy atakuje tył grupy. Rozpoznał zbroję i serce zabiło mu szybciej z radości: był to jego bliski przyjaciel ze Srebrnej Gwardii, Brandt, wraz z księciem i dziesiątkami jego ludzi. Serce mu zamarło, gdy dostrzegł wśród nich Alistair. Prosił ją, by schroniła się w bezpiecznych murach zamku, a ona nie usłuchała. Kochał ją za to bardziej, niż był w stanie wypowiedzieć.

Ludzie Księcia zaatakowali armię od tyłu z wściekłym okrzykiem bitewnym, wzbudzając niemałe zamieszanie. Połowa armii zwróciła się w ich stronę i natarli na siebie przy donośnym zgrzycie metalu. Na czele jechał Brandt ze swym dwuręcznym toporem. Zamachnął się na dowodzącego żołnierza, odciął mu głowę, i w tym samym ruchu zatopił ostrze w piersi innego mężczyzny.

Erec odżył, na nowo przepełniony nadzieją: wykorzystał chaos i natarł na drugą połowę armii. Pochylił się w galopie, wyrwał wystającą z ziemi włócznię, odchylił się w tył i cisnął nią z siłą dziesięciu mężczyzn. Włócznia przeszła gardło jednego żołnierza i zatopiła się w piersi innego.

Erec uniósł wysoko miecz i opuszczył go na pierwszego żołnierza, którego mógł dosięgnąć, przecinając trzonek jego buzdyganu w połowie, zamachując się i odcinając jego głowę.

Erec walczył, rzucając się w grupę mężczyzn z całą siłą, jaką mu pozostała, pchając, blokując, parując ciosy, atakując żołnierzy, którzy nacierali na niego chmarą ze wszystkich stron.

Na przemian unosił tarczę, blokując kolejne uderzenia, i atakował; w ciągu kilku chwil dziesiątki żołnierzy otoczyły go, napierając na niego z każdej strony.

Zabił więcej, niż byłby w stanie zliczyć, lecz było ich zbyt wielu, nawet mimo tego, że ludzie księcia walczyli z nimi na drugim froncie. Jeden z nich zamachnął się buzdyszanem na Erec'a i trafił go w plecy, między łopatki. Erec krzyknął z bólu, kiedy kolczasta metalowa kula wylądowała na jego kręgosłupie. Spadł z konia prosto na ziemię. Uderzenie pozbawiło go oddechu.

Nie poddawał się jednak. Instynkt podpowiadał mu, co robić. Zachował na tyle przytomny umysł, by przeturlać się, unieść tarczę i zablokować cios, który spadał na jego głowę. Odparł atak mieczem i ranił mężczyznę w ramię.

Jeden z żołnierzy zamierzał rozdeptać głowę Erec'a, lecz ten usunął się z drogi, zamachnął i odciął nogi konia, a jeździec spadł na ziemię. Erec przetoczył się i dźgnął go w pierś.

Nacierало na niego coraz więcej mężczyzn. Erec przetoczył się na kolana i blokował uderzenie za uderzeniem, odpierając ciosy rojących się wokół niego żołnierzy. Jego ramiona słabły. Wojownik o wyjątkowo imponującej posturze i prostej, długiej brodzie wystąpił naprzód i podniósł wysoko topór. Erec uniósł tarczę, by zablokować cios, lecz inny żołnierz wytrącił mu ją z

rąk i nim Erec był w stanie zareagować, trzeci żołnierz nadepnął na jego pierś, przyszpilając go do ziemi. Było ich po prostu zbyt wielu, a Erec był zbyt zmęczony. Mógł jedynie patrzeć, jak ogromny rycerz opuszcza topór.

Nagle kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie i ujrzał, jak Brandt unosi swój miecz wysoko z dzikim okrzykiem i zamachuje się z całych sił. Jednym ruchem przeciął rękojeść topora w pół i ściął głowę ogromnego rycerza.

Za nim pojawili się książę i kilku innych, atakując żołnierzy wokół Ereca, wycinając do niego drogę. Erec obrócił się, chwycił nogę mężczyzny, który stał na jego piersi i powalił go na ziemię; po czym przetoczył się i gołymi rękoma skreślił mu kark.

Erec wyciągnął sztylet zza jego pasa, obrócił się i zatopił go w gardle innego napastnika, który się do niego zbliżał. Stanął na nogi, podniósł miecz ze spływającego krwią pola bitwy i odżył po raz drugi.

Erec siekł na wszystkie strony, pokrzepiony tym, że znów walczył u boku swego przyjaciela Brandta i że mieli wsparcie ludzi księcia. We dwóch wycięli wkrótce drogę, zabijając tuzin mężczyzn, którzy na nich napierali.

Erec znalazł wolnego konia, dosiadł go i szybko przyłączył się do pozostałych. Oceniał sytuację: dołączyło do niego kilka dziesiątek ludzi księcia i razem stawiali czoła temu, co pozostało z armii możnowładcy, około setki mężczyzn. Natychmiast poszukał wzrokiem Alistair i zobaczył ją na grzbiecie Warkfina na obrzeżach pola bitwy, przyglądającą się wszystkiemu.

Erecowi ulżyło – była bezpieczna, z dala od walki.

Erec oddychał ciężko, a u jego boku równie ciężko dyszał Brandt, podobnie jak on zbiczony krwią.

– Wiedziałem, że jeszcze będę walczył u twego boku – rzekł.
– Lecz nie spodziewałem się, że nastąpi to tak szybko.

Erec uśmiechnął się.

– Wygląda na to, że znów jestem twym dłużnikiem.

– Nic podobnego – powiedział Brandt. – Pamiętasz Artanie przed dziesięciu laty? Teraz jesteśmy kwita.

Kiedy przygotowywali się, by zaszarżować na pozostałą setkę ludzi, z tyłów grupy doszedł ich nagle kolejny krzyk i Erec, zdezorientowany, odwrócił się próbując pojąć, co się dzieje. Zmrużył oczy i zdało mu się, że w oddali widzi bitwę, która wybuchła na tyłach wojsk. Nie rozumiał, co się dzieje. Czyżby ludzie możnowładcy ścierali się między sobą?

– To twoi ludzie? – spytał Erec księcia.

Lecz książę zaprzeczył ruchem głowy, równie zbity z panatyku.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.